



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5; rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG.**

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

POGA WĘDKA.

Lato ma u nas jedną fatalność na prowincyi, która się powtarza z roku na rok i pomimo stałych doświadczeń nie daje się ograniczyć; mówię o pożarach.

Czerwony kogut siada na dachach i pieje biednym, nieopatrzny ludzom hasło trwogi i zagłady ich mienia.

Niech tylko zaczną się upały, susza kilkudniowa, już ztąd i zowąd przychodzą hiobowe wieści że tu spłonęło tyle a tyle domów, ówdzie całe miasteczko, gdzieindziej połowa wioski obróconą została w perzynę; a zawsze na końcu smutnej zwrotki powtarza się jeden i tensam *refrain*: „Ratunek był niemożliwy, lub niedostateczny.”

Zbrodnicza ręka coraz częściej podrzuca żarzewie pod cudzą strzechę; w ostatnich dniach dwa miasta zniszczyła okropna klęska: spalił się połowa Witebska nad Dźwiną i Święciany na Litwie.

W obu wypadkach stwierdzono podpalenie; w parę dni po pożarze Witebska usiłowano ponownie rozdmuchać zgliszcza i ruinę powiększyć. Gdyby nie położenie miasta, dwiema rzekami, Dźwiną i Wićbą, rozdzielonego na trzy dzielnice, gdyby nie ulewny deszcz nad wieczorem, który zlitował się nad nędzą i niedolą ludzką, gasząc to ziemskie piekło płomieni, stary gród byłby spopielał do reszty.

I tak parę tysięcy osób pozostało bez dachu, 409 zabudowań poszło z dymem, nieszczęście dotknęło srodze biedną ludność, pozbawioną mienia i środków do życia.

W Święcinach było jeszcze gorzej; drewniane stare domy zajmowały się, jak stogi siana od iskiei, w dwóch miejscach jednocześnie roznieciły

się krwawe pochodnie, a wiatr, jakby w znowie z podpalaczami, do południa wiał w jedną stronę, po południu w drugą rozniósł pożogę, zmieniwszy swój kierunek. Zrozpaczona ludność zapomniała o ratunku, żądza zemsty doraźnej na sprawcach klęski opanowała rozwścieczony tłum, rzucano się na podpalaczy; odbito ich straży i jednego poszarpano, potłuczono tak, że ducha wyzionął.

Dwa straszne dramata rozgrywały się jednocześnie na rozpalonym miejskim bruku: wandalizm ślepego żywiołu i szal zaślepiionych ludzi rywalizowały z sobą.

Przez cały dzień płomienie, od samego rana do wieczora, uragały rozpacz i niezaradności mieszkańców miasta, które nie miało się nawet czem ratować, bo Święciany nie posiadały własnej straży pożarnej, a straż wileńska, wzywana błagalnie przez telegraf, nie mogła przybyć, nie chcąc pozostawiać nadwilejskiego grodu na łasce losów. Obawiano się, aby wobec ciągłych zbrodniczych zamiarów podpalenia Wilna miasto nie zostało bez wszelkiej pomocy, w tejsamej chwili, w którejby straż wileńska gasiła pożar święciański.

Przyjemna sytuacja!...

W tych warunkach musiała połowa Święcian paść ofiarą klęski; około 240 domów spłonęło, przeszło sześćset rodzin pozostało bez chleba i dachu.

Co złość i zbrodnia ludzka zniszczyła, dobroć i miłosierdzie ludzkie naprawiać muszą; za winy jednostek ogół płaci i pokutuje.

Na nieszczęśliwych Witebska i Święcian otwarto składkę...

Już-to przyznać trzeba, że żyjemy w czasach hiobowych; co tydzień przychodzi jakaś wieść z jednego lub drugiego krańca Europy, która nas dreszczem przejmuje. Trzęsienia ziemi, cholera, zapadanie się gruntu pod całymi miastami, jak to się stało w Szwajcaryi, pożary, telegra-

my giełdowe, pogłoski polityczne,—alarmują tych nieszczęsnych Europejczyków, dla których ziemia staje się najmniej bezpiecznym gruntem pod nogami.

Jakiś nasz rodak z Poznańskiego wynalazł podobno na te ciężkie czasy pożądany przyrząd do latania; okręca się on jedwabnym węzem napełnionym lotnemi gazami, na plecach przymocowuje ogromne skrzydła i jak starożytny Icarus puszcza się pod słońce, rywalizując z ptakami.

Powiadają, że ze Lwowa, gdzie obecnie bawi, przybyć ma do Warszawy, aby nas nauczyć swojej sztuki i zachęcić do powietrznego sportu.

Przypomniałem sobie moje wrażenia z podróży w tym rodzaju, jakie odbywałem podczas wystawy paryskiej w słynnym balonie Giffarda; zdawało mi się, że jestem orłem, rozumie się orłem papierowym, na sznurku, którego chłopcy pospolicie latawcem nazywają, a choć mnie przytrzymała stalowa lina, grubości ramienia atlety, choć miałem przyjemne towarzystwo kilku zuchów, z których jeden był nawet zapalonym arenautą i przysięgał, że w łóżku nie umrze za nic w świecie, ale w eterach się utopi, choć nad dachów Tuileryjskiego Pałacu mogłem z pogardą plunąć na nowożytny Babylon, przyrzekłem sobie, iż nigdy więcej, nie z orłami, ale z najpospolitszym wróblem rywalizować nie będę. Pyzaty Boreasz chciał nas wówczas, jak Jowiszowy Orzeł Ganimeda, porwać z łona Gei i próbował odgryźć olbrzymią gruszkę napełnioną gazem, u której trzonka, jak muchy przyczepione, spoglądaliśmy z tęsknotą ku ziemi, czekając chwili, w której lina z ukośnego położenia powróci w pionowe i dozwoli maszynistom na dole ściągnąć napowrót powietrzny statek, razem z pobladłymi od wrażeń passazerami.

Od tego czasu wyleczyłem się z ikarowych ambicji, i gdyby mi rodak z Poznańskiego cały aparat do latania ofiarował w prezencie, nie pojechałbym do gwiazd z wizytą, choćby na mnie

mrugały zalotniej, niż najpiękniejsze oczy Warszawianek.

Prawdziwie los się naigrawa, że tego rodzaju wynalazek urodził się w głowie Poznańczyka, wobec działalności kommisji kolonizacyjnej i polityki ks. Bismarcka; geniusz zagrożonych wyteżył się tu w kierunku odśrodkowym, szukając eksystencji dla rugowanych autochtonów — w powietrzu.

Wieści znad Warty głoszą ciągle o sprzedawaniu rządowi majątków polskich w dalszym ciągu i zapowiadają na jesień zdwojoną energią kommisji kolonizacyjnej, dla której w Poznaniu przygotowują siedzibę w gmachu królewskiego konsystorza.

Smutna przyszłość zapowiada się coraz wyraźniej, a ręce, któreby widmo grożącej ruiny powstrzymywać powinny, opadają rozpacznie. Ziemia usuwa się z pod nóg, jeden za drugim z jej strażników ustępuje przymusowo lub dobrowolnie... co dalej będzie?...

Czytaliście też wyborne artykuły Dyonizego Henkiela w *Gazecie Polskiej*, p. t. „Próby i skutki”? warto przeczytać w tych czasach pracę rozumną i źródłową, która i nauką i pociechą jest — zarazem, wykazując, jak płoną bywa często robota takich politycznych karczowników cudzej ziemi, w rodzaju ks. Bismarcka.

Oddawna w prasie naszej nie czytałem również zajmujących artykułów, pisanych z taką znajomością przedmiotu i z taką obywatelską wiarą w sprawiedliwość dziejową i w żywotność ludu doświadczanego próbami zawistnych losów; wieje z nich jakiś szlachetny, męzki optymizm, który budzi siłę wytrwania i nie każe tracić nadziei, jakkolwiekby się źle działo.

W każdej chorobie, w każdym przesileniu wątpienie jest jednym z najbardziej ujemnych czynników, utrudniających powrót do zdrowia i wzmocnienie się organizmu.

Hygiena duszy, jak higiena ciała, wymaga ciągłego pokrzepiania.

W ostatnich czasach tak dużo nasłuchaliśmy się i naczytali o zdrowiu, że chyba ten temat stał się najpopularniejszym w bieżącej dobie, a jakkolwiek wystawa higieniczna od zeszłego tygodnia należy tylko do wspomnień Ujazdowskiego Placu, echa jej długo jeszcze podsycać będą ustne i pisane rozprawy w przedmiocie, dotychczas bardzo u nas zaniedbywanym.

Przez siedm tygodni Warszawa miała swoją kwestyą zdrowotną, której źródło biło w Hygeopolu; 50,000 ludzi miało sposobność przypatrywać się z blizką temu, co zdrowiu pomaga lub szkodzi, a gdyby niebo nie intrygowało przeciw dobrym zamiarom Dr. Pollaka i całego komitetu wystawy, Hygeopol byłby dwakroć ludniejszym i historii swej nie byłby zakończył, jak wiele państw europejskich — deficytem.

Jakotako wprowadzie związano koniec z końcem i kosztą siedmiotygodniowej eksystencji Hygeopola pokrył z dochodów, ale wydatki przy zamknięciu, zupełnie zasłużone gratyfikacje dla urzędników i służby, zamierzone wydanie pamiętnika ze sprawozdaniami ekspertów, przewidywane *plus* zamienią w *minus* ostatecznego bilansu.

Wystawa miała także swoją fatalność: przesładowały ją deszcze i chłody, na pięćdziesiąt dni jej żywota tylko pięć zupełnie pogodnych, to trochę żało.

Część funduszu poręczonego musi pokryć niedobór; o projektowaniu muzeum higienicznym nateraz ze spodziewanych dochodów wystawy marzyć niepodobna, choćby się muzeum bardzo przydało; ja jednak nie tracę nadziei, że Dr. Pollak nie zaśnie na laurach wystawowych i swej wypieszczonej myśli nie porzuci tak łatwo. Muzeum przyjdzie do skutku i przypominać nam będzie obowiązki względem zdrowia jednostek i ogółu.

Prus w artykule piątkowego *Kuryera Codziennego* z powodu wystawy higienicznej obliczył, iż na zaprowadzeniu i wypełnianiu wszystkich przepisów higieny, przy poprawieniu się naszych stosunków zdrowotnych Warszawa mogłaby zyskać rocznie 1,790,000 rs., a Królestwo całe rs. 30,500,000. W jaki sposób? — zapytacie; przez zmniejszenie śmiertelności i liczby chorych, przez

wzmocnienie zdrowych i przypuszczenie więcej pożytecznych sił do pracy.

Fiziolog i higienista z uśmiechem zadowolenia spojrzą na ten rachunek, popierający ich argumenta i nawoływania do podniesienia zdrowotności naszego ogółu; ale socjolog i ekonomista, badający dzisiejszy stan przemysłowych, handlowych i finansowych stosunków, smutnie pokiwa głową i szepnie sobie w duchu:

— Cóż z tego?... przybędzie zdrowych rąk do pracy, a nie będą miały nic do roboty; przybędzie ludzi zdrowych z dobrym żołądkiem, a nakarmić ich nie będzie czem; mniej biedaków umierać będzie, a żywi nie będą wiedzieli, co z sobą począć. Więcej chleba przedewszystkiem! — a z niem i zdrowia i sił przybędzie.

W ten sposób kwestya higieny styka się z kwestyą społeczno-ekonomiczną; trudno utyć temu, kto głodu nie ma czem zaspokoić.

Gazeta Świąteczna podjęła się zebrania materiału do nauczającej i ciekawej statystyki w tym przedmiocie; redakcyja tego pożytecznego i zacnego pisma rozesała kwestyonaryusz do czytelników *Gazety* z prośbą o odpowiedź na 40 zapytań: jak, czem i w jakiej ilości żywią się ludzie w rozmaitych okolicach kraju?

Pytania sformułowane są przystępnie, jasno, zrozumiale, tak, aby na nie odpowiedzieć mógł każdy z największych nawet prostaczków; redakcyja nadto, znając pod tym względem lenistwo, nie tylko ludu, ale i samej inteligencji, która z podobnemi kwestyonaryuszami w innych sprawach niewiele sobie robiła kłopotu, dla zachęty przysłała każdemu korespondentowi za nadesłaną odpowiedź drukowane podziękowanie w *Gazecie* i książkę w nagrodę z wydawnictw Księgarni Krajowej, według własnego wyboru.

Zobaczmy: czy ta zachęta poskutkuje; w każdym razie ze strony redakcyi czyn taki godny jest wielkiego uznania a inicjatywa — poparcia.

Inteligencyja wiejska powinna przyjąć w pomoc *Gazecie* i umożliwić zebranie jaknajobitszego materiału do takiej statystyki, która objaśni nas w kwestyi prawdziwie żywotnej i okaże, gdzie i oile racjonalnie żywi się nasz lud, w czem należałoby korzystnie zaprowadzić zmiany, w jakim stosunku karmić człowieka, by mu przysporzyć największą ilość zdrowia i sił do pracy.

Kwestyonaryusz *Gazety* dojdzie tylko w złą porę pod adresem prenumeratorów wiejskich; żniwa, roboty w polu staną na przeszkodzie w przesyłaniu odpowiedzi „panu pisarzowi” świątecznemu; jeżeli przeto pożytek ma przynieść inicjatywa redakcyi, to tem więcej inteligencyja wiejska powinna przypilnować i wyręczyć niepiśmiennych czytelników w wypełnieniu 40 rubryk kwestyonaryusza.

Stanowczo od pewnego czasu zaczynamy kwestyą zdrowia traktować poważnie i pod tym względem korzystny daje się wykazać zwrot w opinii ogółu, jakkolwiek dotąd zajmujemy się tą sprawą więcej teoretycznie, niż praktycznie.

W tym ostatnim kierunku ludzie dobrej woli i energicznej inicjatywy występują z zachęcającym przykładem.

PP. Ludwik Jenike, prof. Miklaszewski, Matias Berson, Jan Maurycy Kamiński i kilku innych, krzątają się już około zawiązania nowego towarzystwa, którego sam projekt powinienby był dostać na wystawie higienicznej dyplom uznania.

Wspomniałem już kiedyś o takim stowarzyszeniu cywilnych „braci miłosierdzia,” bonifratrów i szarytek bez zakonowej reguły i sukienki, którzyby otaczali opieką chorych po domach prywatnych. Podobno projekt wchodzi już na drogę urzeczywistnienia.

Wyobraź sobie, samotny czytelniku, czy też opuszczona czytelniczko, że za pół rubla miesięcznej składki, stajesz się członkiem towarzystwa, które na wypadek choroby przysyła ci do domu lekarza, felczera, dozorcę, czy dozorecznię, dostarcza lekarstw po niższej cenie, otacza cię opieką, pielęgnuje i pomaga ci wrócić do zdrowia bez owych ciężkich kłopotów, wydatków, zmartwień i wysiłków, sporządzających tak często ruinę materialną całej rodziny.

Największy wróg domowego szczęścia i spokoju — to choroba.

Kto ją widział na swoim progu, kto się po całych tygodniach, miesiącach i latach niekiedy borykał z tym strasznym gościem, — ten na samą wiadomość o powstawaniu podobnej instytucji opiekuńczej ręce podniesie do nieba z wołaniem:

— Bogu chwała!.. a niechże nigdy nie chorują poczciwi ludzie, którym taka dobra myśl przysłała do głowy!

I najuboższy zdobędzie się na pół rubla miesięcznej składki, byle tylko zapewnić sobie pomoc w ciężkiej godzinie, a choćby do końca życia nie miał z niej korzystać, to i tak jeszcze bardzo tanio opłaci spokojność i pocieszenie, jaką mu da ta pewność, że w razie choroby, nie będzie musiał iść do szpitala, lub jęczeć na łożu boleści, wyczekując miłosierdzia Bożego i ludzkiego.

Oby tylko projekt dał się jaknajrychlej urzeczywistnić, bo, jak wiadomo, u nas między projektem a wykonaniem stoi zawsze góra, przez którą dopiero tunel świdrować potrzeba, zanim się do celu dostanie.

Widmem projektu, krążącego, jak pod zaklęciem, w jednym zaczarowanym kółku, jest projekt pomnika Mickiewicza, który się z miejsca ruszyć nie może; obecnie znowu niewiadomo, co zrobić z tą sprawą, która mi przypomina modne swojego czasu łamigłówki druciane, zwane „kwestyą egipską.” Chodziło o bardzo zwykłą rzecz napozór: o odjęcie kółka z jakichś trójkątów spojonych z sobą, ale przy ostatnim trójkacie zawsze się coś wymknęło, coś prześliznęło i figlarne kółko pozostawało na uwięzi.

Tak i z tym pomnikiem; jest komitet, są pieniądze, były konkursy, będzie ich zapewne jeszcze kilka, a na rynku krakowskim, pod Sukiennicami, wróble się gonią jeszcze w miejscu, na którym kiedyś stanąć ma kamienny czy brązowy posąg poety.

I wiele jeszcze pokoleń wróblích ćwierkać będzie na gzemsach Sukiennic o owym projekcie pomnikowym, zanim jakiś drugi Zyblikiewicz sprawę ujmie w energiczne ręce i rozstrzygnie skutecznie, jeżeli przed czasem — nie umrze.

Wszystkie teorie w tym względzie na nic się nie zdają, gdzie praktycznego umysłu i energii braknie.

„*Grau, theurer Freund, ist alle Theorie,*“ powiada Mefistofeles w „Fauscie” Goethego.

To arcydzieło poezji niemieckiej wyszło właśnie obecnie w osobnym odbiciu z „Ateneum”, w przekładzie szanownego tłumacza „Hermana i Doroty”, „Reineke-lisa”, „Ifigenii w Taurydzie”; całość odtwarza dokładnie z formy i ducha oryginał Goethego, który w polskim języku, niby w zwierciadle, odbija się wiernie w tłumaczeniu p. Jenikego.

Tłumacz tylko pierwszą część „Fausta” przełożył, nad drugą częścią uważa pracę za zbyt ciężką i tak powiada: „Istotnie bezmyślny kult Goethego przypomina ową bajkę Andersena o królu, który naprawdę chodził nago; lecz ponieważ rozgłoszono, że ślepi tylko stroju jego nie widzą, ogół więc, nie chcąc uchodzić za ślepy, począł wysławiać strój, barwę i świetność szat królewskich. Co do mnie, nie umiałem, na wzór owych chwalców, dopatrzeć się nieistniejącego stroju na nagiem ciele drugiej części „Fausta”. i dlatego nie przystąpiłem do jej przekładu, uważając to za bezpożyteczną stratę czasu”.

Quis.

Ze wspomnień kasztelanowej,

przez

Wielisława.

Gdyby dziś zmarła osobistość tego znaczenia i wpływu, co ś.p. kasztelanowa Nakwaska, wszystkie pisma byłyby wypełnione najdrobniejszymi

szczegółami jej życia, do biografii posłużyć mogącem; rozchwytywanoby najmniejszy jej ręką spisany swistek.

W r. 1851, skon jej nie przeszedł wprawdzie niepostrzeżenie, ale nie wywołał takiego zajęcia, jakie dziś wzbudza często nawet obskurne osobistości—dzięki głodowi reporterskiemu i skrzętności dziennikarskiej, nie dość krytycznej.

Anna z Krajewskich Nakwaska, o której p. Belcikowski drukuje teraz piękne studium w *Athenaeum*, jako żona prefekta warszawskiego za księstwa, podejmowała u siebie nawet panujących, prowadziła korespondencje z Taylleranden i de Praadtem. Bliskie stosunki znajomości łączyły Nakwaskich ze Staszicem, Kollatajem, Koźmianem. Z generałów francuzkich Davoust, książę Auerstädt i Eckmühl bywał w ich domu często, a nawet raz sam wielki Napoleon zaszczylił swą obecnością progi prefektury.

Po życiu czynnym, użytecznym, a przerywanem pracami literackimi, Kasztelanowa Nakwaska osiadła w Warszawie prawie na stałe, coraz rzadziej odwiedzając swe dobra położone w Płockiem. Skromny salonik kasztelaństwa w domu przy ulicy Elektoralfiej, tymczasem w którym zgasł autor *Maryi*, gromadził szczupłe grono literatów i młodzieży zajętej naukami, którą garnęła do siebie gospodyni, jako sama także autorka. Do nich łączyli się dawni przyjaciele domu, wszystko ludzie poważni, inni znowu poufni i życzliwi.

Najprzyjemniej czas w tym salonie schodził, gdy zebranie było nieliczne, bo wtedy pani kasztelanowa budziła z całą swobodą swe dawne wspomnienia, rozpowiadając wypadki z tak ciekawej epoki, jak rządy pruskie w Warszawie, jak Księstwo Warszawskie, jak przechody Napoleona, zajęcia przez wojska rosyjskie, początek „wskreszonego” Królestwa.

Sądzę, że się przysłuży ogółowi czytelników niniejszego pisma, gdy przytoczę tu jedno z tych opowiadań, jakimi ta niezwykła kobieta zabawiła swych gości.

Oile pamiętam, było to w karnawał. Bawiono się jak zwykle dobrze. Już-to jedynym do zabaw. Bawić umiemy się doskonale, choćby czasy były najsmutniejsze—a owe, coś około r. 1846, nie były bardzo wesołe. Salon pani Nakwaskiej był prawie pusty. Oprócz Alexandra Tyszyńskiego, astronoma Baranowskiego, obywatela z Płockiego Dziekanowskiego, sąsiada kasztelaństwa, a mnie czwartego, bodaj, czy był jeszcze kto więcej.

Siedzieliśmy przy herbacie; ktoś wspomniął o niezmiernym niedostatku, w jakim zostawał stary legionista, kapitan Oborski.

— Nieszczęśliwa—bo też cała rodzina tych Oborskich. Niegdyś możni, szczęśliwi—dziś zupełnie zbiednieli. Gdzie o którym zdarzy mi się usłyszeć, każdy z nich w niedostatku.

Oprócz Stanisława, którego znałam adjutantem księcia Józefa, pamiętam p. Albrechta, a to z tego powodu, że wiele miałam o niego kłopotu z przyczyną następnego wypadku.

Było to po zgruchotaniu państwa pruskiego w Grudniu r. 1806, lub Styczniu następnego. Napoleon stał główną kwaterą w Warszawie na Zamku. Księstwo jeszcze nie istniało. Było tylko trochę wolnej ziemi polskiej wydartej Prusakom, ziemi, której mieszkańcom wielki ów pogromca i czarownik ludów obiecywał wolność, a z której zasobów organizował wojsko. Młoda ta organizacja rządzona była regulaminem i kodexem wojskowym francuzkim. Kodex ten, jak prawa Drakona, sływał ze swej surowości, bo na 28 artykułów w ośmnastu stanowił za przekroczenia karę śmierci, ściśle stosowaną zwłaszcza wtedy, kiedy armia zostawała na stopie wojennej.

Dosyć było żołnierzowi zniecierpliwionemu dotknąć osoby od siebie starszej, zaczawszy od sierżanta lub kaprała, aby być rozstrzelanym; ale nawzajem, dla podniesienia uczucia honoru w armii, officer, któryby żołnierza we froncie, ubranego w pełnej formie i pod bronią, znieważał policzkiem, szedł pod sąd wojenny na rozstrzelanie.

Marszałek Davoust, którego i „Księciem Łowickim” żartem nazywano,—że Napoleon mu te

dobro po prymasach nadał był jako donacyą,—dowodzący korpusem, który konsystował w Warszawie, a pilnujący nowych wojsk formacji, nieublaganie przestrzegał wykonywania tych surowych praw wojennych. To też, chociaż wprawdzie w jego korpusie panowała wzorowa karność, kilka kościołów było przepełnionych aresztowanymi, a dzień prawie nie upłynął bez egzekucji wojskowych na Placu Saskim.

Żał serce ścisnąć, gdy się patrzyło na te dzieciaki prawie, często oderwane od matek, prowadzone na plac, za zapomnienie subordynacji. Lecz nie było co co robić: jeśli kto błagał marszałka o złagodzenie kary, otrzymywał oschłą odpowiedź: „Dla żołnierza rozkaz — to to, co dla pani Sakrament. Zresztą, żołnierzowi śmierć przeznaczona; czy ją prędzej czy później ponieść, mniejsza o to, zawsze zginie od kuli, bo to jego powołanie.”

Ow Albrecht Oborski był ślicznym chłopcem co się zowie, ulubieńcem salonów i pań; jako tancerz—znakomity. Nie wiem, czy miał kilka lat nad dwadzieścia. Zaciągnął się, jak cała prawie wówczas młodzież szlachecka, do wojska, do pułku piechoty Bolesty; w mundurze mu było bardzo do twarzy; przy protekcyi kobiet prędko został officerem.

Przeglądy te odbywały się na ulich Krakowskie Przedmieście i Nowy Świat; a defilada dopiero przed samym cesarzem na Placu.

Zdarzyło się, że przed jednym z tych przeglądów Oborski, szykując swój pluton, spostrzegł brak jednego żołnierza, sławnego pijaka, który właśnie wychodził z przeciwnego sztyku. Zniecierpliwiony tem, napędził go do szeregu i tam, zapomniawszy o kodexie, spoliczkował go w uniesieniu gniewu. Nieszczęście chciało, że Davoust, oczekujący na cesarza ze sztabem na rogu Ulicy Bednarskiej, widział całe zajście: natychmiast więc posłał swego adjutanta, kazał odebrać szpadę Oborskiemu i zastąpiwszy go officerem innym, wsadzić na odwach.

Ktoś u nas w czasie obiadu opowiedział mi to zdarzenie. Nieświadoma praw wojskowych, spytałam:

— I cóż za to będzie Oborskiemu? Skończy się pewno na miesiącu kozy.

— Będzie rozstrzelany, tak chce prawo — odpowiedział zapytany Krukowiecki.

Na te słowa mróz mi przeszedł po całym ciele, łyżka wypadła mi z ręki. — Rozstrzelany!... co znowu?

— Nie inaczej—najspokojniej Krukowiecki odpowie, z naszym Davoustem żartów niema; szczególnie jeśli w sądzie wojennym prezydować będzie d'Autancourt, tensam, który kazał rozstrzelać nieszczęśliwego księcia d'Enghien. Davoust przyjął za zasadę: nigdy do ulaskawienia nie przedstawiać.

— Dosyć — zawołałam — jesteście Kanibale, wy, panowie wojskowi.

Po chwili namysłu, nie już nie mogąc w usta wziąć, z powodu wzruszenia, wstałam od stołu, przeprosiłam gości i odeszłam, bo po bliższych wyjaśnieniach dowiedziałam się, iż czasu do stracenia niema; wszystko się rozstrzygnie może w ciągu niecałych trzech dni. Chcąc, ile możności, nieszczęśliwego ratować od niechybnej śmierci, należało śpieszyć. Szczególniej na oczach mi stała rozpacz starej babki, kasztelanowej Oborskiej, która Albrechta wychowywała, wysłałam więc do niej sztafetę, aby ją zawiadomić co się stało; sama zaś wsiadłam do karety i pojechałam do Davoust.

Marszałek z rubaszością żołnierską przyjął mnie niewczesnymi żarcikami. Mnie się na płacz zbierało.

— Ho, ho! rzekł do mnie—wiedziałem, że się porusza wszystkie kokoszki, za ładnym chłopcem, aby ratować go od śmierci.

— Ani się dziwić, Mości Książę — odpowiadałam, wprowadzając rozmowę na ton żartobliwy—bo gdyby książę powystrzelał kogucików, coby robiły kokoszki?

— To darmo, nic nie pomoże—mówił ponuro—mnie samemu żal; szkoda go, ładny chłopak, ale dziewięć kul w piersi otrzymać musi, tak każe prawo.

— Czyż podobna — zawołałam—za co? za takiego pijaka żołnierza?

— Moja pani — dodał Davoust, namarszczając czoło—(a nie był wtedy przyjemnym).—Poza tym pijakiem stoi całe prawo wojskowe: poszanowanie, jakie mu się należy; stoi cesarz, który je uosabia, cała Francja i jej wielkość...

• Żle!

— Mości Książę—zaczęłam teraz z innego tonu—ja też przychodzę prosić o łaskę...

— Żadnej łaski, potrzeba przykładu—odrzekł marszałek.

— O łaskę, aby wyrok nie wprzód był wykonany, aż przyjedzie babka skazanego, która go wychowała.

— To mała rzecz, mogę to zrobić — odpowiedział, chodząc po pokoju—dla pani — że wyroku przed dziesięciu dniami nie potwierdzę.

Zyskać trzy razy więcej czasu w takiej okoliczności, rzecz ważna. Ośmielona powodzeniem, odważyłam się przedstawić: czy to już konieczne prezydować ma w sądzie słynny z surowości swej d'Autancourt?

— To już o tym starym wilku d'Autancourze wiecie, moje piękne panie!—zawołał, śmiejąc się marszałek.—Ale co do tego, możecie być spokojni. d'Autancourt służy w kawalerii; obwiniony służy w piechocie: sądzić go będą officerowie z jego dywizyi.

— A czybyśmy nie mogły mieć nadziei, że wielki zpod Auerstaedu zwycięzca biednego naszego chłopca do ulaskawienia cesarzowi przedstawi.

Dalszy ciąg nastąpi).

FILISTRY

Powieść oryginalnie napisana

przez

M. Gawalewicza.

(Dalszy ciąg).

Pan Haseman-Zajęcki *junior* pokupiecku traktował swój „interes” małżeński; zdawało mu się, że o towar najwłaściwiej starać się u właściciela, dlatego bardziej nadskakiwał ojcu, niż córce. Częściej przebywał w jego towarzystwie, aniżeli przy boku Ludwiki, z którą mu jakoś gładko nie szła nigdy rozmowa i wobec której czuł się zawsze onieśmielonym i skępowanym, podczas, gdy z Fiszbaumem nie brakło mu materiału do rozmowy, choćby na temat:

— Cóż, marki znowu poszły w górę?... ładnie będziemy wyglądali przy takim kursie!

Jadąc do Brylantówki, nie zaniebawił wstąpić do kantoru p. Fiszbauma, z zapytaniem, czy nie znajdują się jakie pilne korespondencje lub wiadomości do udzielenia bankierowi.

— Bardzo pięknie z pańskiej strony — mówił też gospodarz, odbierając paczkę listów z rąk swego przeznaczonego gościa — że się fatygowałeś do mnie. Rzeczywiście, czekałem ważnego doniesienia z Cesarstwa o pewnej sprawie, która mnie teraz najbardziej obchodzi. Potrzebowałem dokładnych szczegółów o nowych kopalniach w Krymie, które zamierza eksploatować towarzystwo belgijskie do spółki z konsorcjum mieszanem, na którego czele ma stanąć hr. Potorski.

Romuald, obecny tej rozmowie, odwrócił się nagle, usłyszawszy dobrze znane sobie nazwisko.

— Hr. Potorski Andrzej? — zapytał żywo.

— Tak, Andrzej. Pan znasz hr. Potorskiego? — z niezwykłym zainteresowaniem zwrócił się bankier do Romualda. — Zkąd pan możesz znać hr. Potorskiego?

Lacki stłumił uśmiech na widok twarzy gospodarza, która wyrażała niedowierzanie i nieukrywane zdziwienie.

— Mam zaszczyt znać go dłużej i lepiej od pana — odrzekł spokojnie.

— Tegomagnata wielkiego, tego z prawdziwych Potorskich? — indagował dalej Fiszbaum.

— Tego samego; jest to cioteczny brat mojej nieboszczki matki.

— A zatem wuj pański? — przerwał bankier, z nerwowym drganiem całej twarzy, uderzony nagle tą wiadomością, jakby błyskiem słońca w samą źrenicę—to naprawdę wujaszek pana? — spytał śpiesznie przyciszonym głosem, przysiadając się do Lackiego. — Nigdy mi się pan z tem nie pochwalileś!...

Niewiadomo, dlaczego Fiszbaumowi tak trudno było uwierzyć w to pokrewieństwo; od chwili wszelako, gdy o niem usłyszał, zaczął inaczej spoglądać na Romualda.

— No, patrz pan, patrz pan, to hr. Potorski jest wujem pańskim! — powtarzał kilkakrotnie, pokręcając głową, jakgdyby w myślach dodawał:

— Ktoby był przypuszczał!...

Lacki ani się spodziewał, że tą wiadomością wywoła tak wielki efekt; domyslać się nie mógł co właściwie sprawiło na ojcu panny Ludwiki wrażenie tak głębokie i niezwykłe. Siostrzeniec hr. Potorskiego podskoczył nagle w kursie tak wysoko, że na cecule giełdowej papy Fiszbauma stanął niemal *al pari* z walorem: Haseman-Zajęcki.

— Czy pan się komunikuje z wujaszkiem? — spytał po jakimś czasie bankier, wyglądając pomarszczone czoło.

— Nie — brzmiała krótka odpowiedź.

— A dlaczego?

— Zerwaliśmy stosunki od dłuższego czasu.

— I nie pisujecie nawet do siebie?

— Nie.

— A to dziwne; taki milioner.... w rodzinie!

Zmarszczki pokryły znowu czoło Fiszbauma, ale tym razem wyraz przykrego jakiegoś zawodu odbił się w całej jego twarzy. Znać było, że ma wielką ochotę badać dalej swojego gościa, który stał się dlań odtąd znajomością bardzo interesującą, jak owe kopalnie krymskie, tylko, że do niego, jak i do nich, nie mógł znaleźć drogi przystępu na razie. Postanowił wszelako szukać później bez świadków sposobności dłuższej rozmowy z Lackim, który wmieszał się niechcący w tajemne kombinacje finansisty, owiele poważniejsze, niż się z pozoru wydawać mogło.

Nie było na to czasu w Brylantówce; niewyczerpany program zabaw i rozrywek zabierał całe dnie i wieczory gospodarstwu i gościom. Śniadania, obiady, podwieczorki, kolacje, zawsze z wielką ceremonią i wystawnością ulubioną i uświęconą w domu Fiszbaumów urządzane, przepływały wycieczki konne i piesze, gry w krokieta, strzelanie do celu, kilka wizyt w sąsiedztwo; chciano się bowiem pochwalić koniecznie przy sposobności nową znajomością z Odoniecką.

Wyjazd z powrotem odkładano z dnia na dzień, zwłaszcza teraz, gdy pułkownik z Zajęckim przybyli w odwiedziny.

Nareszcie postanowiono ostatni dzień willegiaty spędzić najprzyjemniej, kombinując wszystkie sielskie rozrywki.

— Nie używaliśmy jeszcze sportu wodnego — zauważyła przy obiedzie Ludwika — mamy przecież całą flotyllę na nasze rozkazy. Pan wiosłuje, panie Romualdzie?

— Ja w Wiedniu należałem do Ruderclubu — wyrwał się Zajęcki, nie dając przyjść do słowa zapytanemu — co prawda, opłacałem tylko składkę regularnie, ale wiosłowałem nie wiele, bo mi to ręce zrywało, jednak jeśli pani pozwoli, panno Ludwiko, to ja ofiarowuję się na przewoźnika.

Projekt podołał się wszystkim; trzema łodziami wyruszyło całe towarzystwo z biegiem wody po krętej Liszce, wijącej się przez grunta Brylantówki.

Wyprawa zapowiadała się uroczą; słońce spadało ku zachodowi powoli, majestatycznie, w aureoli blasków, wyłaczających opalowe chmurki, które mu służyły królewskie łóże na widnokręgu. Cała natura umilkła, jakby przez szacunek dla zasypiającego monarchy gwiazd i swego dobroczyńcy; zdawało się, że wszystko w przyrodzie, od ptasząt począwszy do pyzatyh dzieci Boreasza, dech w sobie zaparło. Jakaś uroczysta ci-

sza zalegała całą ziemię dokoła; słychać było tylko plusk wiosel i wesołą rozmowę na dwóch łodziach, płynących za wążką, smukłą łódką, w której szczęśliwym zbiegiem okoliczności pani Zofia znalazła się sam na sam z Romualdem. Jerzbiński z baronem wiosłowali przy swoich żonach, Zajęcki z pułkownikiem, Ludwiką i Fiszbaumem stanowili załogę trzeciej łodzi.

Romuald, jak we wszystkim dotychczas, okazał się skończonym sportsmenem w porównaniu ze swymi współzawodnikami; bez widocznego wysiłku, z wprawą doświadczonego wioslarza, kierował lekką łódką wśród zakrętów rzeki, zarosłej w wielu miejscach szuwarami i trzciną, przez które z jedwabnym szelestem mały statek przemykał się po falach, zostawiając za sobą ruchomą smugę, mieniającą się złotem i purpurą blasków rzucanych na wodę od zachodu.

Coraz większe przedziały powstawały między pojedynczymi łodziami, pomimo wysiłków Jerzbińskiego i Zajęckiego, który wobec Ludwiki chciał się okazać zuchem do wiosła i wypręzał wszystkie muskuły z niewielkim skutkiem. Drobną jego figurką wyginała się, jak z gutaperki, pot kroplisty występował na czoło; po kilku minutach, zadyszany, z oddechem zapartym w piersiach słowa nie mógł przemówić, a w duszy zaczął sobie robić gorzkie wyrzuty, że samowolnie podjął się pracy tak uciążliwej, jak wiosłowanie na łodzi przeladowanej balastem.

— To dobre dla takich chłopów, jak Jerzbiński i Lacki — mówił sobie w duchu, prując niezręcznie fale swemi wiosłami, drażniony złośliwym śmiechem Ludwiki i przymówkami pułkownika udającego, że pomaga młodemu towarzyszowi.

— Ten Lacki musiał być retmanem na Wiśle — powtarzał Jerzbiński na drugiej łodzi — płynie, jakgdyby spławiał drzewo do Gdańska.... Mądrał, wziął sobie najbliższy bacik i najbliższą kobietę; łatwo mu przodować, ale poczekaj rybo; baronie, nie dajmy się!...

— Pan Lacki płynie tak, jakby nas chciał umyślnie zdystansować — wtrąciła po francuzku baronowa; — to trochę zakrawa na ucieczkę; albo na porwanie.

— Nie bój się, wróć — przerwał jej Jerzbiński — słyszeli, jak dysponowałem kucharzowi potrawę z raków; będziecie wszyscy palce lizali przy kolacyi. Madziu — odezwał się do żony — uważaj, źle sterujesz, będziemy jeszcze o brzeg i powyśkakujecie, jak żabki do wody. A co?... nie mówię.

W tej chwili łódź na ukos pochyliła się ku lewej stronie i zaryła w piasek na mieliznie między szuwarami; woda tu była płytszą, przeprawa z ciężką łodzią trudna. Musiano wyczekać pomocy Zajęckiego i pułkownika, którzy z prądem puścili swój statek zmęczeni wiosłowaniem.

Romuald tymczasem, zręcznie wymijając sito-wia i piaski, pomykał szybko po falach Liszki, nie zważając na to, co poza nim się działo; przed sobą miał słońce zachodzące wspaniale, za sobą przy sterze panią Zofię. Było mu lekko, swobodnie, błogo, jak nigdy. W tej kruchej łódce, która ich wiozła, gotów był poszybować aż ku Wiśle, Wisłą ku morzu, morzem na kraj świata; nie myślał o tem, że kiedyś trzeba będzie powrócić i że ten powrót w górę rzeki, przeciw prądowi, zabierze mu trzy razy tyle czasu i siły. Czuł się szczęśliwym samnasam z kobietą, powierzoną w tej chwili wyłącznie jego opiece; zdawało mu się, że należy wyłącznie do niego, że jej istność połączyła się jakimś tajemniczym węzłem z jego istnością. Baronowa miała słuszną, nazywając to ucieczką, czy porwaniem; chciałby był uciec od tego świata konwenansu, płytkich dusz, ciasných serc, chciałby był porwać tę jedną, inną jakąś, wyższą, szlachetniejszą istotę, z którą go losy zbliżyły.

Brzegi przesuwały się przed jego oczyma i umykały z całym krajobrazem po jednej i drugiej stronie; w dali widać było wieśniacze chaty ze słomianymi strzechami, rozrzucone wzdłuż drogi, żółtą wstęgą wijącą się wśród żętych i zoraných pól, kępy wierzob obdartych i rozczochranych, było na pastwiskach, sine kolumny dymu rozszerzające się na pogodę w spokojnem powietrzu ku górze nad ogniskami pastuszków — daleko,

stary młyn nad wodą, a z prawej strony, na piaskach, otoczony żywopłotem i wiankiem drzew, wiejski cmentarzyk, z kapliczką u wejścia.

Z pastwisk dochodził od czasu do czasu zgłuszony ryk bydła wracającego z paszy — dzwonki krów i dalekie szczekanie kundlów we wsi. W karczmie gdzieś dudliły skrzypki i basy przy świątecznej ochocie.

Śliczny pogodny wieczór jesienny zaciągał sedlędną kotarą całe niebo, na którym błady księżyc, jak nocna lampa za firanką z muślinu, wysrebrał już swoją okrągłą tarczę.

— Może wylądujemy na chwilę? — zagadnęła pani Zofia swojego towarzysza — przydałby się panu wypoczynek; nasza eskadra rozbiła się w podróży.

Spojrzała poza siebie na rzekę, upatrując reszty towarzystwa daremnie.

Romuald przybił do brzegu, czyniąc zadość żądaniu pani Zofii i, przytrzymawszy łódź, pomógł jej wysiąść. Poszli razem ku cmentarzowi.

— Patrz pan, zgubiliśmy ich zupełnie — mówiła ze śmiechem — dobry z pana admirał!... nie dbasz o losy swojej floty. Cóż my teraz pocniemy tu sami? nie widzisz pan nikogo?

— Nie widzę; sądziłem, że zdażę za nami. Pan Jerzbiński przechwalał się, niby drugi Neptun, że nas prześcignie swoją czterowiosłową, a tymczasem... zdaje mi się, że ci państwo musieli mieć jakiś wypadek w podróży, bo jeżeli się nie mylę, to całe towarzystwo wraca pieszo do parku brzegiem rzeki. O, tam... za tą łąką, widzi pani?... to oni; widocznie sprzykrzyła im się podróż woda i popełnili dezercję, zostawiając nawet swoje okręty na łasce losów.

W istocie, daleko ku wschodowi widać było towarzystwo kobiet i mężczyzn, zdążające pieszo w górę rzeki; czerwona parasolka baronowej, nie pozostawiała pod tym względem żadnej wątpliwości. Wracali z nieudanej wycieczki, gdy Zajęckiemu sił i tchu zabrakło a Jerzbiński z baronem pomęczyli się po niefortunnym osadzeniu ciężkiej łodzi na piasku i dali za wygraną dalszym wysiłkom.

Romuald z panią Odoniecką znaleźli się odcięci od całej wyprawy, sami pozostawieni sobie, jak para rozbitków na wyspie... Weszli na cmentarz przez uchylone wrota, pomiędzy zarosłą trawą mogiły, ocienione gąszczem brzoź i leszczyny, a słońce ciekawie schylało się coraz bardziej i zaglądało za nimi przez gałęzie, złocąc blachy na mogiłnych krzyżach.

Kilkoro dzieci wiejskich z odkrytymi głowami stało u wrót i przypatrywało się obcym przybyszom. Pani Zofia pogłaskała jedno z nich po ogorzałej twarzy i spytała:

— Tobie pewnie Marysia na imię?

Odziewczynka stała, jak zahipnotyzowana tem dotknięciem i ani okiem mrugnęła.

— Jakże ty się nazywasz?... nie powiesz?... a ty?... czegoż tak milczycie, jak niemowy?

Dzieci zdawały się nierozumieć, albo niesłyszeć; nie ośmielała je poufałość pięknej pani.

— A umiecie pacierz?

Milczenie było znowu odpowiedzią gromadki, zakłopotanej tą indagacją.

— Widzi pani — odezwał się Romuald — jak to trudno porozumieć się z naszym ludem; on tak samo jak te dzieci, słucha, ale nie odpowiada. Za długo przymuszano go do milczenia. Zanim się oswoi, nabierze zaufania i odezwie, — długiego jeszcze czasu potrzeba będzie.

— Czasu i ciepłej ręki, i dobrego słowa, — powiedział pan. Kopciuszek się ośmieli.

— Tosamo powtarzała zawsze moja matka i, całe życie spędziwszy na wsi, pracowała z wiarą w powodzenie dobrej sprawy. Nagrody doczekała się po śmierci; do grobu niosły ją ramiona jej wychowanki i wychowanców, całe gminy wyruszyły na pogrzeb swojej dobrodziejki. Nie pozwolono trumny ustawić na wozie, kilka mil wieziono nieboszczkę.

— Objąłeś pan zatem piękną spuściznę po matce i trzeba jej pozostać wiernym — wtrąciła Odoniecka.

— Tak, zapewne, — tylko mi dzisiaj środków zabrakło do tej przerwanej pracy.

— I dajesz pan za wygraną?

— O nigdy—przerwał jej z mocą—nie wolno mi wyrzec się najśmielszych moich nadziei.

— Myślisz pan zatem naprawdę o odzyskaniu tego, co straciłeś?...

— Czy ja myślę!... wziąłem to sobie za cel mojego życia, tylko nie mam ochoty paradować nim przed całym światem. Roześmiano-by się mi w oczy, gdybym w dzisiejszych moich warunkach rozwijał wszystkie plany, jakie noszę w mej głowie i sercu. Czyż pani nie słyszałaś, że Laskich uważają za zupełnych bankrutów?... za tytuł moich własności, żaden praktyczny kapitalista nie dałby grosza jednego, a jednak, ja bym nie odprzedał go za milion. To dziwactwo, nieprawdaż? Jestem fatalistą pod tym względem, dotychczas nie ułakłem się żadnych poświęceń, by uratować tylko ostatnią nitkę, która mnie wiąże jeszcze z tą moją ziemią, a nie moją. Muszę wrócić do niej i wrócić, albo...

Nie dokończył, bo mu sama myśl, ciężka, jak głaz, zamknęła usta.

— Obowiązek nasz ratować każdą pięddziemi zagrożonej—mówił dalej spokojnie, lecz z męską stanowczością — dziś tyleśmy jeszcze warci, ile gruntu mamy pod nogami. Na ten temat zmarowano już tyle frazesów, że mi wstyd nawet przed panią mówić o tem. Wybrałem cięższą rolę: milczeć, ale żyć tylko tą myślą. Zresztą trudnoby pani przyszło uwierzyć, jak i innym, że pojmuję moje zadanie poważniej, niż wszyscy, chociaż szaleństwem nazwanoby cel, jaki mam przed sobą. Ja nawet z ojcem moim unikam rozmowy w tym przedmiocie.

Szedł obok niej z głową spuszczoną, z rękami w tył splecionymi i zdawał się przejętym głęboko swojemi słowami. Pierwszy raz zwierzał się przed kimś obcym z tajemnic swoich.

Odoniecka słuchała go poważnie, w milczeniu, nie chciała przerywać; imponowała jej ta wiara rozbitka, że dopłynie do łądu samym wysiłkiem woli męskiej. Dziwnie brzmiały w jej uszach wyrazy człowieka, w którym tylko przeczuwała hart niezwykle i głębię charakteru, zakrytą dla całego świata. Dzisiaj on sam dał jej sposobność do uchylenia rąbka tej zasłony.

Wdzięczną mu była głęboko za to zaufanie.

Kiedy skończył, szli dalej w milczeniu, ale myśli ich snuły się raz rozwiniętym wątkiem, bo po długiej chwili, podała mu rękę i rzekła krótko z drżeniem w głosie:

— Szczęść Boże pańskim planom!...—i znowu zamilkła.

W tym uścisku życzliwej dłoni było więcej wymowy, niżby się jej w ustach znaleźć mogło. Cisza cmentarna o zachodzie usposobiła oboje poważnie.

— Jest coś dziwnego w tej atmosferze nad grobami — odezwała się pierwsza pani Zofia — co żywym zamyka usta. Wracajmy już, bo nas tu noc gotowa zaskoczyć. We mnie pokutuje trochę dawnego romantyzmu; ja lubię groby, cienie, duchy, potrafiłabym błądzić po cmentarzu, jak Hamlet z mojemi myślami, chociaż nie mam wcale skłonności do melancholii. Cmentarz ma swoją poezję, która działa na mnie swym urokiem; wracam z niego do życia jakaś spokojniejsza, ale bez smutku i przygnębienia, jak inni ludzie. A pan?...

— Mam pani prawdę wyznać?... ja nie lubię cmentarza.

— Dlaczego?

— Najpierw dlatego, że mi przypomina najboleśniejszą stratę, jaką w życiu poniosłem, a po wtóre, że nie lubię się roztkliwiać jego grobowym smutkiem. Życie wymaga siły, trzeźwości, wiary w doczesne cele. „Trzeba z żywymi naprzód iść“... Zna pani ten wiersz Asnyka?... takie godło powinniśmy wszyscy mieć w duszy w pamięci.

— Skoro pan nie lubisz cmentarza, to wracajmy tembardziej... do żywych, którzy nas oczekiwają — rzekła z uśmiechem, opierając się na jego ramieniu. — Może byłoby lepiej za powrotem wybrać ład, zamiast wody i pójść za przykładem naszego towarzystwa?... jak pan uważasz?... Przypuszczam, że zaszlibyśmy pieszo owiele prędeż.

— Czy pani tak śpieszno do tamtych? — spytał, patrząc jej w oczy — bo co do mnie, nie tęskno mi ani do p. Haseman-Zajęckiego, ani do pułkownika. Mógłbym nawet w tej chwili pożegnać się raz na zawsze z nadzieją zobaczenia ich kiedykolwiek.

— Jakto, i nie tęsknisz pan do nikogo w Brylantówce?... do nikogo? — powtórzyła z naciskiem — to bardzo niewdzięcznie z pańskiej strony.

— Czy pani sądzi, że serca mężczyzn są jak zwierciadła, w których odbija się każda uśmiechnięta twarzyczka, byle tylko zajrzała w nie?

— Albo ja wiem; tak mało studiowałam was dotąd poważnie. Przypuszczam wszelako, że każdemu mężczyźnie pochlebiać musi przekonanie, iż rozkochał w sobie kobietę.

— Rozkochał!...

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Lwów w Lipcu 1887 r.

Pobyt we Lwowie arcyksięcia Rudolfa, następcy tronu. — Jarmark powszechny. — Dożynki i wesele huculskie. — Cyganie. — Wystawa etnograficzna w Tarnopolu. — Wysoki Zamek i iluminacya ogrodu miejskiego.

Przyjazd i pobyt dwudniowy we Lwowie arcyksięcia Rudolfa, następcy tronu, rozruszał publiczność tutejszą na ten czas w niezwykły sposób. Starano się uczynić przyjęcie jaknajokazalszem i nie szczędzono na to kosztu ze strony miasta i Wydziału Krajowego. Miasto przybrało powierzchowność niezwykłą — przystrojone tysiącami chorągwi, udekorowane w wielu miejscach ze smakiem prawdziwie artystycznym. Dopelnily świetności przyjęcia codzienne iluminacye i wspaniały raut u marszałka krajowego. Nie będę opisywał tych wszystkich uroczystości, ułożonych zresztą według zwykłego w takich razach ceremoniału; odszczególniała się zwłaszcza powitalna kantata p. Noskowskiego, wykonana pod jego dyrykcją pierwszego wieczora, zaraz po przyjeździe arcyksięcia, przed jego pomieszkaniem, przez chór czterystu śpiewaków, i iluminacya ogrodu miejskiego, podczas wspomnianego rautu w gmachu sejmowym. Projekt tego oświetlenia, odznaczającego się cudnie piękną kombinacją świateł i harmonią salonów, obejmującą ogród w przepyszną całość, dał prof. Zachariewicz, posiadający niezmiernie wiele pomysłów i twórczej i smaku artystycznego. Pominąwszy jednak mniej więcej zwykłe szczegóły ceremoniału przyjęcia, chciano programat jego urozmaicić czemś niezwykłym, mającem donioślejsze pod względem etnografii kraju znaczenie. Chciano mianowicie okazać arcyksięciu rozmaite typy ludowe z wszystkich okolic kraju, zwyczaje i uroczystości tradycyjnie u ludu się przechowujące, jego zabawy i prace, przemysł domowy — słowem: to wszystko, co znamionuje stopień jego oświaty, usposobienia, zamięłowania i obyczaje. A że zapowiedziana na czas przyjazdu arcyksięcia wystawa etnograficzna w Tarnopolu tenżesam cel miała: więc, aby się nie powtórzyło tosam w Tarnopolu, co arcyksiążę już we Lwowie miał obaczyć, porozumiano się w tym względzie z komitem wystawy tarnopolskiej, i skutkiem tego porozumienia, postanowiono urządzić we Lwowie na górze Wysokiego Zamku, obok plantacyi Jarmark powszechny, połączony z Dożynkami i Weselem Huculskiem.

Jarmark miał głównie zgromadzić wyroby przemysłu domowego naszych wieśniaków, a na przedstawienie godów weselnych sprowadzono z gór, zpod Żabięgo, gromadkę Huculów, tworzących weselny orszak młodej pary. Na placu jarmarcznym stanął kosztowny miasto duży bazar, na pomieszczenie zwieszonych na jarmark towarów, a wokoło kilkadziesiąt namiotów w tym samym celu rozpiętych. Pomysł był dobry, ale z natury rzeczy nie dał się wykonać tak, jakby sobie ży-

czono. Przypatrzywszy się wszakże poznać można było, że to jarmark bardziej udany, niż rzeczywisty. Było tam wprawdzie na sprzedaż mniej więcej wszystko, co się wyrabia w galicyjskich fabrykach i chacie wieśniaczej. Były i piękne bardzo koronki i płótno, i wyroby koszykarskie, rzeźby z drzewa, przedmioty blacharskie, likiery i rozolizy i mnóstwo pierników, były naczynia i sprzęty domowe, a nawet maszyny i narzędzia rolnicze krajowego wyrobu; ale z tem wszystkiem krajowy nasz przemysł bardzo niedostatecznie przedstawiał się na tym jarmarku. Był to *bali-czek na smoly stoliczek*, a nawet na bardzo mały, i nie mógł dać bynajmniej wyobrażenia o naszym przemysle krajowym. Starano się zresztą nadać mu piętno charakterystyczne pod każdym względem. U wstępu siwobrody lirnik śpiewał przeciągłymi tony staroświeckie pieśni lirnicze, a dalej kapela żydowska, w której główną rolę miały cymbalki, wygrywała rozmaite melodie charakterystyczne, gromadząc wkoło siebie tłumy jarmarcznej gawiedzi.

Najciekawszym wszakże ustępem widowiska urządzonego tutaj dla arcyksięcia był pochód, przedstawiający *Dożynki*, tak, jak je obchodzi ludność mazurska, *Wesele huculskie*, nakoniec wędrówkę bandy cygańskiej. Gdy arcyksiążę zajął miejsce w przeznaczonym dlań pawilonie, wysunęły się zpoza plantacyi Wysokiego Zamku najpierw wozy wyładowane sнопami zboża i sianem, otoczone gromadą żeńców i kosiarzy. Odsłowne stroje mazurskie, dziarskość chłopaków i uroda dziewcząt, wywołały powszechne wrażenie. Najpiękniejsza i najświetniejsza ustrojona dziewczoja złożyła u stóp arcyksięcia ogromny wieniec ze zboża spleciony, będący według dawnego tradycyjnego obyczaju przy uroczystości dożynkowej symbolem zebranych plonów. Po żniwiarzach nastąpił weselny orszak huculski: kilkadziesiąt mężczyzn i kobiet, o typowych wyrazistych obliczach, konno i pieszo, w malowniczych strojach. Na czele postępowali trębacz z ogromnemi na parę sążni długimi, *trambitami*, oryginalnem narzędziem muzycznym, na którym Huculi odgrywają na szczycie gór swój *hejmał* poranny na powitanie wschodzącego słońca; używają go zresztą przy wszystkich uroczystościach i obrzędach. Dziarskie koniki huculskie szły raźnie, z ogniem i szykiem. Kobiety, siedzące na koniach pomeżku, przedstawiały oryginalny w swoim rodzaju a malowniczy widok. Zatrzymawszy się przed arcyksięciem, państwo młodzi, zsiadli z koni, i poprosili o błogosławieństwo według zwyczaju trzykrotnym do stóp pokłonem; poczem ozwały się trambity, swym przeciągłym, melancholijnem echem, i orszak, ustępując miejsca grupie cyganów, pociągnął dalej po stokach Góry Zamkowej, na płaszczyznę obok ogrodu Kisielki, oddając się do późnego wieczora zabawie i tańcom.

Charakterystycznie przedstawiała się gromada Cyganów. Postacie, stroje, obyczaje, wszystko oryginalne, znamionujące sposób życia koczowniczy, odmienny we wszystkim od społeczeństwa naszego. Na kilka dni przed przyjazdem arcyksięcia do Lwowa, gdy po całym kraju rozeszły się odezwy tutejszego magistratu, wzywające na zapowiedziany jarmark, przedstawił się publiczności lwowskiej widok, jaki rzadko kiedy spotkać się zdarzy. Banda Cyganów, odświętnie ustrojona, po większej części bardzo oryginalnie, z królem postępującym na czele, z kobietami, dziećmi, szła do magistratu, aby oświadczyć, że przybywają uczestniczyć w publicznych uroczystościach, jako należący także do ludności krajowej. Król cygański, w przepysznym amantowym kaftanie, o dużych srebrnych guzach, z berłem o pozłocistej galce w ręką, *antiquo more*, kroczył z powagą iście monarszą, młode cyganki po wschodniemu postrojone, o czarnych, ognistych oczach, ciskały wokoło palcem wejrzeniem, rade wróżb swych udzielać ciekawemu tłumowi widzów, towarzyszących pochodowi. Wyznaczono im tabor za miastem; obok gmachu Inwalidów, gdzie rozłożyli się obozowiskiem. Przez kilka dni był ten ich obóz miejscem ciekawej pielgrzymki całego Lwowa. Jedni szli zwabieni oryginalnością widoku, który tu miał się im przedstawić, inni, radzi byli usłyszeć wróżbę przy-

szłych swych losów; wielka zaś część przychodzących miała nadto jeszcze cel osobny, bardziej praktyczny; wszystkie mianowicie kucharki i stróżki kamieniczni nieśli do naprawy naczyń kuchenne i inne rzeczy żelazne, wymagające naprawy. Cyganie są doskonałymi kowalami i kolarzami. Robota ich szybka i bardzo dobra. Obozowisko przedstawia się jak wielka hamernia, dną miechy polowe, tłuką młoty o kowadła naprędce ustawione, a Cyganie wprawna ręką dokonują roboty, jak to mówią, na poczekaniu, podczas gdy czekającemu tymczasem opowiadają smagłe cyganki tajemnice jego przyszłości. Oto najpiękniejsza z nich, z rozpuszczonymi, czarnymi jak heban, włosami, ustrojona w jedwabie, mnóstwo wstążek, koralu i dukaczów, zasiadła na ziemi poturecku, z podgiętymi nogami, i wróży otaczającej ją nieustannie gromadce ciekawych. Stałem długo i podziwiałem ten dowcip i spryt wrodzony, z jakim dziewczę cygańskie umiało każdemu zręcznie pochlebić trafnie dobraną wróżbą, odgadnąć tajemnicę życzeń, usposobień i słabości każdego, aby zyskać za to jaknajwyższe wynagrodzenie. A potrzeba mieć nielada fantazję potem, skoro przesuwalą się przez dzień cały gromada ciekawych składa się ze wszystkich stanów i rozmaitego wieku osób.

— Cóż ci dać za to? — zapytał, wysłuchawszy wróżby stojący obok mnie, jakiś średniego wieku mężczyzna, urzędnik z pozoru.

— Co łaska panoczku — odrzekła ze skromną rezygnacją cyganka.

— No, mów — guldene czy dwa — czy pięć...

Cyganka bystro spod oka spojrzała na pytającego, a wyraz tajonej radości przemknął błyskawicznie po twarzy i odrzekła, niby przystając z rezygnacją ofiarności na tak skromne wynagrodzenie.

— Ta niech — ta niech, panoczku.

Ale omyliła się tymrazem, trafiła kosa na kamień. Frant pytający rzucił dziesięciogroszówkę i oddalił się; Cyganka ukryła, jak mogła, swe rozczarowanie i wróżyła dalej.

Nietylko doskonałymi są Cyganie kowalami, ale trzeba oddać tę sprawiedliwość, niemniej wybornymi złodziejami. Roztasowawszy się na wyznaczonym dla siebie obozowisku, obok gmachu Inwalidów, okradli zaraz pierwszej nocy kaplicę tego zakładu. Dokonał tego wysledzony przez policję piętnastoletni chłopiec cygański, który z ściągniętą lub wiewiórczą zręcznością doświadczonego w takich sprawach akrobata, wdrapał się po murze do wnętrza kaplicy. Po tym wypadku wzbroniono Cyganom wstępu do miasta podczas ich tutaj pobytu, a kto chciał ich zobaczyć, musiał iść za miasto pod Inwalidy.

Wystawa etnograficzna tarnopolska powiodła się nieporównanie lepiej, niż jarmark lwowski. Przedstawiała ona dosyć dokładnie życie domowe, pracę i obyczaje ludu wiejskiego wschodnich powiatów Galicji, ujęte w trzy główne grupy, uwypatniające trzy charakterystycznie odmienne strefy kraju. Była więc chata podolska, wiernie skopiowana, z całym urządzeniem domowym, gospodarskim i otoczeniem, druga z okolic nabużańskich, a trzecia huculska, zakupiona i sprowadzona z całym swym urządzeniem zpod Żabięgo. Wszystko, cokolwiek się wiąże z życiem ludu wiejskiego, pokarmy, odzież, wyroby jego ręki i twórczej domorosłej fantazji, rolnicze narzędzia, których używa, wreszcie obrzędy i zabawy, którym się w chwilach skąpego wypoczynku po pracy oddaje, wszystko to znajdowało się tutaj, malowniczo i dosyć systematycznie umieszczone. Była też i uroczystość dożynek, naśladowana według tamtych okolic obyczaju. Szły ciężkie wozy, ładowane zbożem w snopach, ciągnięte przez woły; postępowały obok żeńców i kosiarzy gromady z sierpami, kosami, grabiami i wieńcami zbóż, strojnie wstęgami ozdobionymi, a dwadzieścia pięć par dobranych ze wsi pobliskiej, w odświętnych strojach, tańczyło przed arcyksięciem tańce narodowe.

Ustawione malowniczo etnograficzne grupy ludności wiejskiej różnych okolic uzupełniały obraz całości. Z wyrobów domowych najbardziej odznaczały się swą, niekiedy prawdziwie artystyczną pomysłowością i misternem do podziwu wy-

kończeniem, wyroby huculskie, po większej części przedmioty do stroju konnych podróży i myślistwa, jak rogi na proch, pasy mosiądzem nabijane, toporki i t. d. Doniedawna jeszcze posiadał nasz przemysł domowy dwóch pracowników, odznaczających się samorodnym geniuszem, którzy, nie naśladowując nikogo, lecz z własnej fantazji czerpiąc motywy pomysłów, posunęli zarazem technikę do niebywałego stopnia, zapomocą im tylko znanych i przez nich oryginalnie pomyslnych sposobów. Artystami tymi, albowiem śmiało można im przyznać tę nazwę, byli: *Bachmiński*, garncarz z okolic Kossowa i *Skryblak*, snycerz samouk, równie, jak Bachmiński. Naczynia garncarskie tego ostatniego odznaczały się, nietylko pięknoscia oryginalnych kształtów, ale także polewą nadzwyczaj wytrwałą, której sekret on tylko posiadał, i malowaniami nader kunsztownie w ogniu wypalanimi. Skryblak rzeźbił i inkrustował metalem kielichy kościelne, czary, tacki, i t. p., wszystko według wzorów z własnej zaczerpniętych wyobraźni i zawsze w bardzo udaną wiążących się całość. W wydawanych tutaj przez dyrektora muzeum przemysłowego miejskiego, p. Ludwika Wierzbickiego, znakomitego znawcę sztuk, *wzorach* artystycznego przemysłu domowego ludności naszej wiejskiej, znajdują się w osobnych zeszytach celniejsze przedmioty ich wyrobu. Przed kilku laty zmarli obaj, a wyroby podobnie, jak za życia swych twórców powszechną zyskały wziętość, tak dzisiaj są cennymi zabawkami, za którymi ubiegają się znawcy. Arcyksiążę zakupił na wystawie, pomiędzy innymi przedmiotami, także parę pięknych wyrobów Bachmińskiego i Skryblaka.

Zamykając niniejsze pobieżne wspomnienie pobytu arcyksięcia następcy tronu we Lwowie, dodaję jeszcze muszę, że obok wielu rzeczy, które oglądał i zakładał, które zwiedził, nie pokazano mu tego, co Lwów pod względem piękności natury, spotęgowanej sztuką, posiada najpiękniejszego i najwspanialszego, mianowicie: plantacyi na Wysokim Zamku.

Obaczywszy podczas rautu u marszałka z balkonu gmachu sejmowego, prześliczną iluminację ogrodu miejskiego, dzieło prof. Zacharyewicza, rzekł arcyksiążę do otaczających go osób:

— Coś tak pięknego zdarzy się widzieć tylko w Londynie, Paryżu lub Wiedniu.

Plantacyi na Wysokim Zamku może nam każda pozazdrościć stolica.

Władysław Zawadzki.

Kronika działalności kobiecej.

— Konkurs imienia ks. Jakubowskiego, Pijara, jednego z najzaciejszych i najświatlejszych kapłanów naszych, powstający z zapisu uczynionego Akademii Umiejętności w Krakowie, w celach praktycznego oświecania ludu, dotyka w obecnej kolej zadań konkursowych przedmiotów, ściśle złączonych z gospodarczą pracą kobiety. Temat do opracowania, na ostatnim posiedzeniu Akademii ogłoszony, jest: — „Opisać na podstawie najnowszej literatury i własnego doświadczenia, sposoby suszenia owoców i warzyw, tak w przemyśle fabrycznym, jak i w domowym. Autor powinien podać, nietylko dokładne opisy i rysunki potrzebnych przyrządów, ale także koszt ich sprawienia, lub wyrobienia w domu; powinien przytem wskazać: jakie gatunki owoców, i jakie z warzyw naszych nadają się do tego; powinien podać koszt, połączone z ich produkcją i wykazać, w jakich warunkach przedsiębiorstwo to opłacić się może.“

„Praca konkursowa powinna w całym swym ogóle świadczyć, że autor nie jest kompilatorem, że się przedmiotem „fachowo“ zajmował, że zna warunki i potrzeby krajowe. Nadto rzecz powinna być napisana w ten sposób, aby przez lud wiejski z korzyścią czytana być mogła.“

Nagroda 600 rs. w danym razie rozdzieloną być może na dwie nagrody: 400 i 200 rs. Ter-

min do nadsyłania prac konkursowych pod adresem: *Akademia Umiejętności w Krakowie* — jest oznaczony na dzień 31-go Grudnia 1888 r.

— W smutnych stosunkach poznańskich w walce o ziemię zapisało się zaszczytnie nazwisko kobiety, p. Treczerowej z Mogilna, która uratowała od zagarnięcia przez komisyję kolonizacyjną wieś Świerkowiec. Dotychczasowy jej właściciel Suchorzewski, dotknięty wyrokiem wygnania, utrzymać się nadal nie mógł i ten kawał ziemi, z którego ustępował, został wystawiony na sprzedaż przez licytację publiczną.

Stał do niej z jednej strony agent komisyji kolonizacyjnej, z drugiej delegat naszego Banku Włościańskiego, ale walka była nierówną, bo Niemiec rozporządzał większym kapitałem, i gdy summa licytacyjna przeszła 226,000 marek, delegat bankowy ustąpił. Wtedy szlachetna pani, o której, piszą ze stron tamtych: „jedna z najzaciejszych w okolicy“ przystąpiła do licytacji i gdy agent komisyji kolonizacyjnej cofnął się, doszedłszy do 248,000 marek, ona postąpiwszy 2,000 marek nabyła Świerkowiec za cenę 250,000 m. Ta nigdy nie traciła pieniędzy w Monaco, nie stroiła się w Paryżu — była gospodarną i pracowitą, więc w chwili danej nie zabrakło jej zasobu na czyn szlachetnego patriotyizmu.

— Na wystawie higienicznej jedna jeszcze nagroda przypadła na dział kobiety: p. Anna Scheiblerowa z Łodzi otrzymała dyplom uznania za urządzenia szpitalu noszącego jej nazwisko.

— Akademia Francuzka przyznała najpierw medal zasługi klasy I-ej, a obecnie 500 franków nagrody bohatersko-odważnej kobiecie M-e Dorvan Lalande, która w 1884 roku poświęcała się szlachetnie, ratując cholerycznych. Jest to największa nagroda, jaka kiedykolwiek została przez akademią przyznana kobiecie.

— Na konkursie ustanowionym przez stowarzyszenie katolickie miasta Tryestu na hymn pochwalny dla papieża Leona XIII, pisany wierszem powłosku, pierwszą nagrodę otrzymała młoda panna, Ludwika Auroletti z Tryestu.

— Szwedzka powieściopisarka, Emilia Carlen, kończy d. 8 Sierpnia bieżącego roku 80 lat życia. Kraj pragnie ją uczcić oznakami uznania „za patriotyczny i uczciwy kierunek jej powieści“. W tym celu czynią się już przygotowania ze strony literatów szwedzkich, a początkiem do tego jest jej biografia napisana przez Birger-Schildström'a, świeżo drukiem ogłoszona, która mieści zarazem i ocenę jej dzieł, z wykazaniem ich pożytku dla czytającej publiczności. Carlen napisała i wydała pierwszą swą powieść, „Waldemar Klein“, w 1838 r., zatem w przyszłym roku przypadnie pięćdziesięcioletni jubileusz jej pisarskiej działalności. Akademia szwedzka przyznała już jej w 1882 r. wielki medal złoty, wyszczególniając, jak było wyżej, za jakieś to zasługi go otrzymuje; że zaś akademia nie ma już żadnej wyższej oznaki dla uczczenia zasługi pisarskiej, więc już naród tylko coś tu dodać może. Komitety już się tworzą w tym celu, i jest zamiar, aby jej ofiarowano ze składek wielki krzyż złoty, z kosztownym brylantem w pośrodku, opleciony kunsztownie gałęzią wawrzynu i dębu, z napisem, powtarzającym to, co już akademia wyraziła przy przyznaniu jej medalu: „Za patriotyczny i uczciwy kierunek“. Mimo sędziwego wieku, Carlen jest jeszcze o tyle czerstwą, że można jej wróżyć dożycie tej pięknej chwili.

— Kobiety duńskie pragną miejsca w zarządzie municypalnym, szczególnie w Kopenhagi i petycja ich w tym celu, opatrzona licznymi podpisaniami, przeszła w sejmowej Izbie Niższej (Folketing) znaczną większością głosów. Ale Landting, to jest Izba Wyższa, odrzuciła petycję także bardzo znaczną większością głosów.

— Wiedeńskie stowarzyszenie pisarek i sztukmistrzyń liczy obecnie 62 regularnych członków, a 168 niestałych. Pierwszych jest: pisarek 37, malarek 20, rzeźbiarki 1, muzyczek 4. Majątek stowarzyszenia wynosi 5,365 guldénów, z dochodów udziela stowarzyszenie zapomóg i ratuje stowarzyszone w razie choroby lub wypadku. Przytem członkowie wzajemnie usiłują zapewnić sobie pracę.

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż 1 Lipca 1887 r.

Brak słońca. — Zimno i ślota. — Wpływ klimatu na życie zewnętrzne. — Doroczne wychodźstwo Paryżanów. — Pizzeria w zabawach. — Składki na pogorzelców Opery Komicznej. — Rozdawnictwo nagród na wyst. wie Sztuk Pięknych. — Jeszcze słówko o panie Bilińskiej. — Wyścigi konne. — Grand Prix. — Dwie kobiety z kroniki czerwcowej. — Jubileusz królowej Angielskiej. — Porwanie nowej Andromedy. — Panna Mercedes de Campos. — Koniec awantury. — „Rzeczy widziane“, nowa książka Wiktora Hugo. — Odkrycie ciekawe w Saidzie. — Nowy sarkofag Eczmunazara. — Objaśnienie Kenana.

(Dokończenie).

Otóż w tym domu, gdzie gościnną Polka przyjmowała dobrych przyjaciół, w pięknym, zacisznym zakątku Anglii, obchodzono ten jubileusz, jak go obchodzono również w każdym miasteczku, w każdej wsi, w każdym zaścianku angielskim. Przeszło pięć milionów ciekawszych, możniejszych, szczęśliwszych Anglików, zbiegło się świątkować w stolicy; reszta została w spokojnych domach, przystając swe serca do tej wesołej nuty, jaką w ten dzień jubileuszowy, dźwięczało życie całego narodu, błogosławiąc swoją królową: *God save the Queen!*...

Jak na całym obszarze Anglii, tak i u pani Bodenheima dzień rozpoczął się modlitwą — zakątek ten jest przeważnie katolicki, jak i sama właścicielka — a więc w kościele. Następnie dzieci obojej płci, w świątecznych szatach, pod dyktando siostr, przyszło złożyć hołd dobroczynnej pani — odśpiewać hymn religijny, potem narodowy, odebrać hojne podarunki, których, każde z dzieci miało pełne ręce, — i zasiąść do gościnnych stołów, a potem ruszyć na zabawę w gościnie otwartym parku; następnie przyszli rodzice i starsi. Lunch wyśmienity, złożony z herbaty, zimnych mięs i sandwichów — zaspokoili wybornie szczery apetyt. I w tym gościnym domu, który nie jest bynajmniej jednym z najbogatszych — potrafiono przecież obsłużyć ten wielki napływ z sąsiedniej wioski i rozdać 2000 filiżanek herbaty.

I wszystko to się odbyło porządnie, spokojnie, wesoło, wśród błogosławieństw dla królowej. Pięćdziesiąt lat panowania było dla Anglii pięćdziesięciu latami: spokoju, szczęścia, dobrobytu, i chwały pokojowej, cichej, — której nikt nie oblał krwią i łzami — a której największa wartość leży w olbrzymim rozwoju przemysłu i handlu — tych niewyczerpanych źródeł dobrobytu, gdzie owe miliony ludności przychodzą odżywić swe siły, do nowej pracy, ale też i do nowego szczęścia!... Nasi goście wrócili głęboko wzruszeni tym widokiem i musieli wyznać z pokorą, że prawdziwa wielkość, prawdziwa swoboda, prawdziwe szczęście, jest tam — gdzie zasady bytu społecznego stoją i dotąd niewzruszone.

Jest to obraz życia, które się rozlewa szeroko i, jak potężna rzeka, płynie spokojnie i cicho napozór, a w którym nurtują prądy całej ludzkości. Kobieta, w której się urzeczywistnił ten obraz, jest to królowa i matka — królowa równie szczęśliwych ludów, jak matka szczęśliwej rodziny. Zobaczmy teraz odwrotną stronę tego pięknego medalu, przypatrzmy się młodej kobiecie, której imię wspominałem wyżej, a której historia w ostatnich czasach zapeliła szpalty wszystkich dzienników i wywołała najnamiętniejsze spory i najdziwniejsze pomysły i wymysły!

Doszła już do was, sensacyjna wiadomość o porwaniu w biały dzień, w Lasku Bulońskim, na głównej alei: *Avenue du Bois de Boulogne*, gdzie ruch powozów i ludzi jest tak nieustanny, jak w mieście — pani, należącej do jednej ze znakomitych rodzin hiszpańskich z Hawany, młodej, a już szeroko znanej w paryżkim świecie i w Madrycie, z głośnej rozwodowej sprawy z pierwszym mężem księciem Santavenio, synowcem marszałka Serrano, księcia de la Torre.

Młoda heroina, mająca już przecież lat 26 skończonych, Kreolka, zowie się Mercedes de Campos y Martin, a stryjem jej jest znany generał i re-

staurator dynastii burbońskiej w Hiszpanii, Martinez de Campos. Po śmierci ojca rodzina de Campos, złożona z trojga dzieci, odziedziczyła ogromną fortunę, którą najskromniejsi rachmistrze obliczali na dziewięć milionów. Panna de Mercedes stała się więc odrazu jedną z najbogatszych partyi w Hiszpanii i marszałek Serrano, wówczas wszechmocny człowiek w Madrycie, uznał za wielce dogodną — przyłączenie tego pięknego posagu do posiadłości swej rodziny. W krótkim bardzo czasie panna de Campos została księżną de Santavenio.

Niedługo jednak trwały te związki. Wraz z politycznym upadkiem marszałka Serrano rozprężyły się rodzinne węzły z bogatą kreolką... Małżeństwo rozeszło się równie prędko, jak je skłono; panna utrzymywała, że jest tylko mężatką z nazwiska. Był to prawdziwie hiszpański skandal i kumoszki z Madrytu miały piękną zabawę przez całą zimę. Rozpoczęto rozwód, sprawa poszła do Rzymu, gdzie kanonicznie związek ten unieważniono. Rozpoczął się bezzwłocznie proces o zwrot ogromnego posagu.

Jak powiadam, skandal był kompletny i po obu stronach Pirenów bawiono się nim czas jakiś. Ale ponieważ wszystko musi mieć swój koniec, więc też i po rozwodzie małżeńskim nastąpił i rozwód posagowy. Podczas procesu marszałek umarł; przyspieszyło to rozwiązanie sprawy, młoda rozwódka, w towarzystwie żony dawnego furmana rodziny, wyprowadzonej na wysokość dueni osiadła w Paryżu — i rozplynęła się w tem morzu wesołości tak, że zapomniano o niej zupełnie.

Naraz przed kilkunastu dniami, dzienniki odkryły nowy skandal i nową pastwę dla siebie. Paryżanie dowiedzieli się, że p. de Campos porwaną została w Lasku Bulońskim przez młodego Francuza, w towarzystwie całej bandy kawalerów; z tych jedni przytrzymali starą furmanową, a drudzy uwieźli rozwódkę. Chociaż żyjemy w czasach, że osobiste bezpieczeństwo każdego nie jest tak zapewnione, aby mógł rachować na jutro, jak na cztery tuzy, przecież porwanie w dzień biały, w Lasku Bulońskim, młodej rozwódki, wydało się czemś dziwnym.

Gruchnęły wieści, pełzać zaczęły przeróżne plotki; depesze, korespondencje, telefony, wystąpiły na scenę — i pokazało się w końcu, co było do przewidzenia, że bogata rozwódka dobrowolnie postanowiła wejść w powtórne śluby, a dla uniknięcia trudności, bo narzeczony jest młodym kancelistą z biura izby deputowanych, nazwiskiem Miellac, do czego dla lepszej fantazy i trochę hiszpańska, dodał doteż dwa jeszcze inne nazwiska: De Lacour'a i de Garben'a — wspaniale! zacna ta i dobrana para, zawsze w towarzystwie kilku młodych akolitów, spodziewających się dostać coś na piwo po ślubie, udała się do Duwru, gdzie już się zapewne pobrała. Wolno przewidywać, że główna osoba skandalu i powtórnego małżeństwa wkrótce do nowego stanie rozwodu.

Epilogiem tej hiszpańsko-francuskiej komedii jest to, iż stara księżna de la Torre była reżyserką całej tej sztuki, że ona to kazała należeć i podsunąć pannie de Campos, młodego kancelistę, spodziewając się, że rzecz skończy się na porwaniu i na skandalu tylko. Ślub był wypadkiem nieprzewidzianym; pomysł tej niespodzianki należy do samego kancelisty i do panny czy pani Mercedes. Pozostaje rzecz podziału ogromnego posagu pomiędzy bandę, tworzącą coś w rodzaju towarzystwa wzajemnej pomocy, opartego na ewentualności odkrytej przypadkiem kopalni! Zapisalem to do swojej kroniki, bo jest to także znak czasu, ażeby wszystkie a wszystkie tutejsze dzienniki przez dni piętnaście zapeliły swe szpalty tego rodzaju wypadkiem.

Zapisując to do mojej kroniki myślę o tem: w jakiej formie, zapisałby to do swojej książki Wiktor Hugo? — tak, do tej książki, której wydawcy, pozostałych pism wielkiego poety, nadatak dobrze i stosownie znalezionej tytuł: „Rzeczy widziane“ (Choses Vues).

Wiadomo wam, że Wielki Wiktor testamentem swoim wyznaczył p.p. Vacquerie i Meurice,

jako wydawców tego wszystkiego, cokolwiek się znajdzie w jego papierach, nagromadzonych przez lat tyle. Oprócz więc wydania kompletnych dzieł poety, wydania tak wspaniale rozpoczętego, pod tytułem: „Wydania narodowego“, oficjalni wydawcy przygotowują, co się da uezierać wśród tych stosów szpargałów, gdzie zaprowadzenie samego tylko porządku, jest już dziełem cierpliwości i pracy. Mamy oto pierwszą próbkę w tych „Widzianych rzeczach“, gdzie się nam przedstawia Wiktor Hugo, w postaci reportera, który dzień po dzień i prawie godzina po godzinie na kartkach ulotnych zapisuje wypadki, zdarzenia i wszystko cokolwiek zajęło myśl jego, lub uderzyło oczy. Ztąd cały ten tomik widzianych rzeczy, dziwny, ciekawy, zajmujący głównie tem, w jaki sposób poeta wyrażał swe myśli, bez pretensyi, bez napróżd obmyślanej formy — jakby osobiste notatki czytającego, zapisywane na marginesie książki; tylko, że książką tutaj jest życie a annotatorem taki, jak Hugo, pisarz. Grzeszy on często i tutaj tym hyperbolicznym zamachem pióra, które zawsze prawie dalej idzie, niżeli je prowadzi ręka. Te olbrzymie postacie mowy w przenośniach — to już taka natura pisarza pełna fantazyi, i wobec krępującej rzeczywistości umiarkować się niezdolna.

W tej wielkiej kupie nagromadzonych rzeczy, gdzie król Ludwik Filip, staje obok jakiegoś *bric à brac*, i gdzie awanturka płochy kobiety — idzie zaraz po posiedzeniu izby parów, sądującej strasliwą zbrodnię księcia de Praslin — w tej wielkiej kupie, biorę wspomnienie o śmierci Balzaca, jako model przyjętej redakcyi tych notat, przez poetę-kronikarza.

„Pośród tego pokoju stało łóżko. Łóżko mahoniowe, mające w głowach i w nogach, poprzecznicę i taśmy, które wskazywały, że to był przyrząd umysłny, przeznaczony do podźwignięcia chorego.

„P. de Balzac leżał w tem łóżku, z głową opartą o stos poduszek, do których dorzucono jeszcze poduszki z kanapy, pokryte czerwonym adamaszkiem. Twarz była fioletowa, prawie czarna, pochylona ku prawej stronie, broda nieogolona, włosy szpakowate, krótko strzyżone, oczy otwarte i nieruchome. Widziałem go z profilu: był podobnym do cesarza (Napoleona).

„Stara baba, pilnująca chorego i służący, stali po obu stronach łóżka; za łóżkiem w głowach, na stole paliła się świeca, druga na komodzie przy drzwiach. Ten człowiek i ta kobieta stali w milczeniu z pewnym rodzajem przestrachu i słuchali głośnego chrapania umierającego.

„Świeca postawiona w głowach, oświecała jaskrawo portret młodzieńca, różowego, uśmiechającego się, zawieszony przy kominku (zapewne portret Balzaca robiony w młodości).“

Taka jest redakcyja i taki ogólny koloryt tych najrozmaitszych notat. Naturalnie, są rzeczy słabsze i silniejsze, ale wogólnie ciekawe, choćby dlatego, że takie, na które Hugo sam patrzył.

Naturalnie, że tego rodzaju urywkowo pisana książka, nie czyta się się od a do z z zajęciem dobrej powieści, ale, przeczucując te kartki od czasu do czasu, łatwo jest przedstawić sobie, nie tylko to, co widział poeta, nie tylko czas, w którym to się działo, ale nawet samego pisarza, którego zawsze trochę zawałająca osobistość pomimo woli wychodzi na scenę. Ciekawe!

Ponieważ w literackiej jesteście dziedzinie, pozwólcie, że wspomnę wam króciutko o tem, co było przedmiotem bardzo zajmującego zawiadomienia w Akademii des Inscriptions et Belles lettres, Sławny Ernest Renan, uczony orientalista, jest prezesem komisji, która się trudni wydawnictwem znanem, pod nazwą: *Corpus Inscriptionum Semiticarum*.

Ostatniemi czasy w Syrii, niedaleko od Saidy, (starożytnego Sidonu), archeologiczne towarzystwo tureckie (to już coś zupełnie nowego), pod zarządem młodego gubernatora z Saidy, znalazło starożytny sarkofag granitowy, zupełnie podobny do owego, jaki znaleziono przed laty w tych samych miejscach, a który znany jest w świecie uczonym pod nazwą sarkofagu Króla Sydońskiego Eczmunazara i znajduje się obecnie w Paryżu, w Muzeum Luwru.

P. Renan. odebrawszy od owej tureckiej kommissyi odbicia doskonale otrzymane z napisów sarkofagu, przedstawił akademii tłumaczenie ciekawego fenickiego tekstu. Opiewa on w treści: „Ja Sadik Eczmunazar, wielki kapłan (Kohen) i Król Sydoński, sporządziłem sobie to miejsce spoczynku wiecznego. Ty, co to będziesz czytał, niech będzie z tobą błogosławieństwo Boże, jeżeli się nie dotkniesz i nie sprofanujesz mojego spoczynku—lecz w razie, gdybyś podniósł rękę świętokradzką, pamiętaj, jakie cię czekają kary niebieskie.”

Dają tu treść jedynie, bo jeszcze sam text nie był nam udzielony oficjalnie. Mamy tu, jak mówił p. Renan, sarkofag, najpewniej ojca owego Eczmunazara z grobowca znalezionej przed laty. Była to więc dynastia panująca w Sydonie; zdaje się, że inne jeszcze znajdują się groby, ponieważ kommissya wspomina jakoby o odkryciu całej nekropoli.

Już z poprzedniego sarkofagu, jako forma i szczegóły, wnioskowano, że owe grobowce pochodzić mogły z Egiptu, odkrycie dzisiejsze, najzupełniej to mniemanie potwierdza; obok bowiem fenickiego napisu Eczmunazara jest napis hieroglificzny egipski. P. Maspero, wezwany do odczytania go, oświadczył, iż rzeczywiście sarkofag ten był pierwotnie wyciosany dla jednego z wielkich generałów egipskich z czasów Ramzesa. W czasie podboju Egiptu przez Persów, i w czasach Ptolomeuszów gwałcono i ograbiano ważniejsze grobowce egipskie. Tym sposobem opróżnione sarkofagi stały się przedmiotem handlu, i tacy królikowie sydońscy i inni nabywali je, i rysując na nich napisy we własnym języku, zadość tanie pieniądze, sporządzali sobie wiekiście groby.

Rzucają one pewne światło na stosunki starożytnego świata, gdzie zapewne handelek wewnątrz takich grobowców musiał być daleko bardziej ożywionym, aniżeli ów importowy. A kiedy wyludniony wojnami i zubożały Egipt nie mógł już dźwigać ciężaru finansowego, tak kosztownych pomników, wyrzucając z nich stare kości przodków, znajdował gotowy i cenny materiał do handlu.

Na sarkofagu dawniejszym, na tym, który jest dziś w Luwrze, sciosano starannie hieroglify egipskie; zapewne zakupiony wcześniej, miał on czas być przygotowanym starannie dla nowego mieszkańca. Tymczasem król Sadik kazał tylko własny swój napis umieścić wśród ozdobnej girlandy hieroglifów egipskich. Według zdania p. Maspero czas najpodobniejszy tego handlu sarkofagów egipskich, *post mortem* odnieść należy do końca panowania Persów i do początku panowania dynastji Ptolomeuszów. Tak więc te poboczne świadectwa, jeżeli się wiarogodnymi okaza, pozwolą oznaczyć czas panowania owej dynastji Eczmunazarów w Sydonie.

Z DZIAŁU PRZYRODY.

Z kroniki najnowszych wynalazków i odkryć naukowych.

Fenomenalny głodomerek. — Poprzednicy jego i konkurenci. — Sfotografowanie błyskawic. — Oświetlenie pobożowskich w porze nocnej. — Keramit. — Żelaz, nieprzyjmujące rdzy. — Tlen w stanie stałym. — Cukier ze smoły. — Krótkowidze szkolni. — Wyrwanie zębów bez bólu. — Piótno z chmielu. — Dachy papierowe. — Zegarki opierające się wpływowi magnetyzmu. — Roślina atramentowa.

(Dokończenie).

Lekarz niemiecki Karol Reich zwraca uwagę nauczycieli i pedagogów na tak zwane choroby

szkolne, innemi słowy na te, których twórcą jest rygor szkolny. W pierwszym rzędzie tych chorób wymienia on *wzrok krótki*. Badania najściślej, którym poddano 10,000 dzieci, wybranych na traf, ze szkółek wiejskich, szkół elementarnych, realnych i gimnazyów, okazały jeszcze przed dwudziestu laty, że stosunek krótkowidzów zwiększa się szybko, i tem więcej, im dzieci przez dłuższy czas kształcą się w zakładach naukowych. W rzeczy samej znaleziono 1,4% krótkowidzów w szkołkach wiejskich, 6,7% w szkołach elementarnych miejskich, 7,7% w szkołach drugorzędnych żeńskich, 10,3% w zakładach naukowych średnich (Mittelschulen), 19,7% w szkołach realnych, 26,2 w gimnazyach.

Co więcej, tożsamo stopniowanie daje się dostrzec, gdy młodzież przechodzi z klasy do klasy w jednej szkole.

Podobnego rodzaju obserwacje, odbyte w Wiedniu, Petersburgu, Moskwie, Marsylii, w Nowym Yorku, w Tyflisie i t. d., dały prawie tezsame rezultaty.

Cierpienia organu wzrokowego po większej części pochodzą z wadliwego oświetlenia szkół, z nieogólnego rozstawienia ław szkolnych, i co jest niezaprzeczonem, zuciążliwych programów wykładowych tak rozszerzanych od lat kilku, że nauka jest poprostu niemożliwą dla uczniów średniej inteligencji. Wszystkie rapporta szkolne w Niemczech stwierdzają pomnożoną liczbę godzin lekcyj z pozostawieniem bardzo małego czasu na ćwiczenia gimnastyczne.

Dür a po nim Fuchs zestawiali w tej mierze Anglią, Francją i Niemcy i otrzymali rezultaty następujące: W Anglii 16,500 godzin pracy, 4,500 godzin gimnastyki; we Francji 19,000 godzin pracy, 1,300 godzin gimnastyki; w Niemczech 20,000 godzin pracy, 500 godzin gimnastyki.

Liczy to aż nadto wymowne i nie pozwalają wątpić o przyczynie pomażającej zastęp krótkowidzów w szkołach, nie mówiąc już o innych chorobach, jakim ulegają dzieci, wskutek jaknajgorszych warunków higienicznych. Kwestya to poważna; warto się nad nią zastanowić, chodzi tu bowiem o zdrowie młodego pokolenia.

Professor Redard w klinice szkoły dentystycznej w Genewie używa wodochloranu kokainy, który, wtrysnięty, wywołuje miejscowe znieczulenie przy wyrwaniu zębów.

Procentowy stosunek wodochloranu wynosi: 15%; wtryskiwanie odbywa się za pośrednictwem szpricy Pravaza; przeciętna doza, potrzebną do pozyskania znieczulenia, dochodzi 0,5 gramów roztworu, który szprycuje się dwukrotnie, w połowie, to jest zewnątrz i wewnątrz, stosownie do kierunku korzeni zębnych, do których kończyn płyn prawie dosięga.

Po zaszprycowaniu tym płynem w dziesięć minut można przystąpić do wyrwania zęba, a ta operacja nie sprawia najmniejszego bólu. Do każdego wyrwania potrzeba użyć tylko 0,075 gr: kokainy, która-to ilość nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa.

Jedynym nieprzyjemnym skutkiem tego jest poczucie nudności i bóle głowy, te symptomy nikną jednak prawie zaraz po dokonanej operacji. Zresztą przejawiają się one tylko u osób wielce wrażliwych, a w szczególności u młodych dziewcząt i dzieci.

Dotąd łądy chmielowych używano w Rosji zamiast materiału opałowego, lub do konstrukcji dróg przeprowadzanych przez bagna, gdzie zastępowały one miejsce faszyny.

Obeenie z chmielu pozyskuje się włókno. W tym celu potrzeba po wysuszeniu łądy chmielowych przemasować je, podobnie jak konopie, dające również tkanę, a materya otrzymana jest nie równie mocniejszą od wyprodukowanej z konopi. Płótno surowe chmielowe różni się tylko od płótna lnianego mocniejszą barwą żółtą, która zresztą znika w bieleniu.

W Stanach Zjednoczonych używają obecnie papki papierowej do wyrobu pokrycia dachowego, a nowy ten produkt dzięki swej lekkości i licznym innym zaletom, jest nierównie lepszym i praktyczniejszym od łupków, dachówek i tektury smołowej. Z odlewu mechanicznego można otrzymać wszelkiego kształtu dachówki papierowe. Po opuszczeniu prassy dachówki są osuszane, lecz niezupełnie; potem nasycą się je roztworem, który im nie dozwala przepuszczać wody, następnie przechodzą do suszarni, w której nabierają twardości. Pokostowanie nadaje im pozór emalii, na którą nakłada się warstwę piasku, w celu zabezpieczenia pokrycia dachowego od następstw upałów i ognia. Wreszcie dachówki przechodzą powtórnie do suszarni lub wypalonego pieca i są gotowe do użycia. Piasek, jakim posypuje się pokost, można brać różnobarwny, jeżeli chodzi o pozyskanie ozdobnego wyrobu.

Wiadomo, że w sąsiedztwie machin elektrycznych i magnesów zegarki stają się niezdatnymi do użytkowania; temsamem zegarek nieczuły na wpływy magnetyczne byłby *desideratum*; dotąd wszakże napróżno kuszone się rozwiązać to, tak pożądaną, zadanie.

W Genewie, słynącej z wyrobu doskonałych zegarków, dopięto jednak obecnie tego celu. Wyrobiamy dziś tam wahadło kompensacyjne, na które nie oddziaływa wcale magnetyzm.

Zegarek zaopatrzony w wahadło tej konstrukcji i w spiralną z palladium, poddany wpływowi silnego elektro-magnesu, zatrzymuje się wprawdzie bezzwłocznie, lecz, jak tylko oddalimy się od niego, odzyskuje swój bieg normalny. Zegarek zwykły w tych warunkach przestałby chodzić, a gdyby jego sprzężyny zatrzymały nawet pewną część siły, to chodziłby całkiem fantastycznie.

W Nowej Grenadzie krzewi się osobliwsza roślina zwana *Atramentową*, — nazwa jej botaniczna: *Goriaria thymifolia*. Dostarcza ona soku zwanego w języku krajowców *szami*. Płyn ten zrazu czerwony, w zetknięciu się z powietrzem przyjmuje piękną barwę czarną i może wybornie zastąpić atrament, nie wymagając żadnego przygotowania. Atrament z tej rośliny, wyrób samej przyrody, nie uszkadza stalówek. Zamierzono w południowej Europie zaklimatyzować tę szacowną roślinę.

W. Niewiadomski.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 17-ty powieści pod tyt: **Konieczność**, przez M. E. Braddon; oraz arkusz 7-my powieści pod tytułem: **Dzisiejsi**, przez H. Rabusson.

TREŚĆ: Pogawędka. — Ze wspomnień kasztelanowej, przez Wielisława. — Filistry, powieść (dalszy ciąg), przez M. Gawalewicza. — **Korrespondencya zagraniczna**, Lwów. — **Kronika działalności kobiecej**. — **Nowiny paryżkie**, (dokończenie). — **Z działu przyrody**, (dokończenie), przez W. Niewiadomskiego.

Dodatek obejmuje: Arkusz 17-ty powieści pod tytułem: **Konieczność**, przez E. Braddon; oraz arkusz 7-my powieści pod tytułem: **Dzisiejsi**, przez H. Rabussona. — **Przegląd mód**. — 18 wzorów ubiorów i robót z opisem Sekretu gospodarskie. — **Dyspozycya stołu**.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg

Дозволено Цензурою. — Варшава, 8 Июля 1887 года

Bielizna z weby i bawełnianych tkanin.

Bielizna stanowiąca podstawę każdej wyprawy, a dziś tak przesłicznie wykończana, że chlubnie świadczyć może o cierpliwej wytrwałości naszych pracownic igły, zasługuje na obszerniejszą wzmiankę, nie tyle ze względu na zmiany, jakie i w tym zakresie z biegiem czasu zachodzą, jak ze względu na to, co w istocie przyswoić sobie należy, a co jako niepraktyczne odrzucić. Co do wyboru tkanin na bieliznę, to względy higieniczne powinny tu nami głównie kierować i dla tego nie zrażajmy się do koszul z kretonu, które higienieści za tak zdrowe poczytują.

Dziś wiele bardzo osób, nawet zamożnych, tylko takie koszule nosi, nie przez oszczędność, a tylko z przeświadczenia, że tkaniny bawełniane lepiej zabezpieczają od przeziębienia i że w ogóle są zdrowsze od tkanin lnianych. Coprawda są za to mniej przyjemne, i kto nieprzywykł od dziecka, ten nie łatwo z bawełnianą bielizną oswoić się może, zaznaczyć wszakże należy, że bielizna taka, coraz więcej zwolenników zyskuje.

To też mnóstwo mamy teraz tkanin bawełnianych, na bieliznę przeznaczonych, od wyrobów prostych i nadzwyczaj tanich, do najwykwintniejszych, równających się prawie cenie płócien holenderskich.

Również tkaniny czysto wełniane na bieliznę, przez adeptów teorii Jaegera, tak zalecane, mają dziś szerokie zastosowanie w handlu. Cienkie flanelki białe, i w paseczki kolorowe, muśliny wełniane i t. p. tkaniny, używają się na dzienną i nocną bieliznę. Naturalnie ażeby temu kierunkowi sprzyjać, trzeba mieć przede wszystkim silnie rozwiniętą wiarę do wełnianych teorii, gdyż wbrew przekonaniu trudno się ubrać, choćby w najlżejszą koszulkę wełnianą, zwłaszcza podczas gorącego lata.

Według mego zdania najładniejszą i najmilszą zawsze pozostanie koszula płócienna, skromnie lecz pięknie uszyta. Nie pochwalam tego przeładowania haftami i koronkami, do którego gust tak się dziś rozpowszechnił, bez względu na ciężkie czasy, że nawet sługi nasze kupują sobie za Żelazną bramą koszulę z haftowanymi gorzami.

Oglądając wyprawy w kilku sklepach, zrobiłam spostrzeżenie, że wyprawy dla panien istotnie zamożnych, zachowały ten pozór skromności, który zbytkiem oka nie razi; zdawałoby się, że istotnie ci, co mają odpowiednią służbę, oraz warunki materialne, zbytek upoważniające — i mogą bezkarnie narzucać znużającą pracę, licznej swej służbie, nie ubiegają się weale za tą wymuszono-

ną elegancją, — gdy przeciwnie, ludzie średniej zamożności, wybierają nietylko to, co drogo kosztuje, lecz nadto co uciążliwe jest dla służby, mniej licznej i mniej zdatnej. Najpiękniejszą ozdobą bielizny w ogóle, jest piękne uszycie; ręczne naturalnie zawsze ma przewagę nad maszynowym i stanowi pewien zbytek w wykończeniu takowej. Prześliczną oglądałam bieliznę w zakładzie S-tej Marty na Krakowskim-Przedmieściu. Zakład ten oddawna istniejący pod opieką dobroczynnych dam i pod sumiennym zarządem kompetentnych osób, ma głównie na celu dostarczanie ciągłej pracy swoim robotnicom, a zadawalniając się bardzo małym zyskiem, doszedł do bajecznej doskonałości w zakresie ręcznego szycia i haftu. Równie piękną bieliznę widuję zawsze w sklepie pana Bobrowskiego, u którego szyją się najwykwintniejsze wyprawy.

Przy pomocy naszych modeli, można sobie również bardzo piękną bieliznę uszyć w domu, zwłaszcza dziś, kiedy posiadamy tak ułatwiającą rzecz, jak maszyny do szycia. Wszelkie hafty i wstawki do powłoczek i prześcieradeł, bardzo są w użyciu, również jak klockowe i szydełkowe roboty, drobny gęsty haft francuzki, wyparł wszakże hafty angielskie, które coraz mniej przyozdabiają bieliznę. Na bieliznie stołowej, tudzież na prześcieradłach i poszewkach, haftują zawsze duże łączone znaki (monogramy), na koszulach i innych drobniejszych przedmiotach,

najmodniejsze są dwie małe pisane litery, wyhaftowane atłaskiem białą bawełną.

Koronka szydełkową robotą.

Rycina Nr 7 w Blu. Nr 28.

Koronka z krętej bawełny Nr 70, złożona jest z pojedynczych gwiazdek połączonych ze sobą rzędem i zakończonych z dwóch brzegów kilkoma kolejami wykonanymi wzdłuż roboty. Każdą gwiazdkę rozpocząć od środka, na kółeczku z 9 pow. ocz. Kolej 1: 3 pow. ocz., 19 słupkowych oczek w kółko, w końcu 1 ścis. ocz. łańc. w 3 ocz. z pierwszych 3 ocz. Kolej 2: 4 pow. ocz., 19 słup. po każdym 1 pow. ocz., 1 pow. ocz., 1 ścis. łańc. ocz. w 3 z pierwszych 4 ocz. tej kolei. Kolej 3: 4 pow. ocz., 2 podw. słupki połączone górnymi żyłkami w następne pow. ocz., 19 razy po 5 pow. ocz., 3 podw. słup. połączone górnymi żyłkami, w następne pow. ocz., 5 pow. ocz., 1 ścisłe ocz. łańc. w połączone pierwsze dwa słup. Kolej 4: 3 ścis. łańc. ocz. w kolejne 3 ocz., 20 razy naprzemian: po 5 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w środkowe ocz. z 5 pow. ocz. Każdą następną gwiazdkę wykonać w ten sam sposób, łącząc podług wzoru, poczem wzdłuż dolnego brzegu roboty. Kolej 1:

1 słup. w drugą pętelkę z pow. ocz., * 2 razy naprzemian: 3 ocz. pow., 1 ścis. ocz. w następne 5 pow. ocz., poczem 3 pow. ocz., 1 sł. 3 pow. o., 1 poczwórny słup., 1 podw. sł. który należy przerobić z drugą żyłką poczwórnego słup., poczem dopiero stopniowo należy przerobić pozostałe żyłki, 3 ocz. pow., 1 podw. słup. w środkową żyłkę poczwórnego słup., 3 o. pow., 1 słup. w następne 5 pow. ocz., od * powtórzyć. Kolej 2: * 1 podw. słup. w najbliższe oczko poprzedniej kolei, 1 słup. w drugie z rzędu ocz. górne żyłki obydwóch razem przerobić, 2 o. pow., 1 słup. w te żyłki podw. słup., którą przerobiono takowy, 3 pow. ocz., 3 ocz. opuścić, od * powtarzać. Kolej 3 ciągle naprzemian: 1 ścis. ocz., 7 pow. ocz., 4 ocz. opuścić. Kolej 4 ciągle naprzemian: 1 ścis. o. w środkowe oczko z 7 poprzednich, 6 podw. słup. po każdym 2 ocz. pow. Kolej 5: * 1 o. ścis. w 2 oczka poprzedzające 6 słup., 5 ocz. pow., 1 ścis. ocz., 5 o. pow., od * powtórzyć. Kolej 6: * 5 podw. słup. po każdym 2 ocz. pow., 1 ścis. ocz. w o. środkowe z 5 pow. o., 2 pow. ocz., od * powtórzyć. Kolej 7 ciągle naprzemian: 1 ścis. ocz. w kolejne 2 ocz. 5 pow. oczek. Z drugiego brzegu gwiazdek należy wykonać 2 koleje jak 1 i 2. Kolej 3 ciągle naprzemian: 1 słup. w drugie z rzędu ocz., 1 pow. ocz.



Nr 1. Sukaia z materyi i koronki.

Nr 2. Suknia z beżu i kraciastej materyi.

Koronka szydełkową robotą.

Rycina Nr 8 w Blu. Nr 28.

Koronka wykonana krętą bawełną Nr 70, na dowolnie długim łańcuszku. Kolej 1: * 1 podw. sł. w najbliższe ocz., 6 pow. ocz., 1 ści. ocz. w 5 z rzędu ocz., robotę odwrócić, na tych samych oczkach z powrotem 3 pow. ocz., 6 słup. w poprzednie 6 pow. ocz., robotę odwrócić, 3 pow. ocz., 6 słup., 4 ocz. opuścić, od * powtórzyć. Kolej 2 (po prawej stronie roboty): na poprzednich z powrotem 8 pow. ocz., * 1 ści. ocz. w 3 pow. ocz. znajdujące się przed 6 słup., 4 pow. ocz., 1 słup. podw. w najbliższy podw. słup., 4 o. pow., od * powtórzyć. Kolej 3 do 6 ciągle naprzemian: jak 1 i 2 kolej. Kolej 7 (oraz następne po prawej stronie roboty w jednym kierunku), ciągle naprzemian: 1 słup. w drugie z rzędu ocz., 1 pow. ocz. Kolej 8: * 1 podw. słup. w drugie z rzędu ocz., dolną żyłkę przerobić 2 razy po 1 słup. w drugie z rzędu oczko, górne żyłki przerobić z poprzednim słup., 2 razy naprzemian: 1 pow. ocz., 1 słup. w środkową żyłkę podwójnego słup., poczem 1 pow. ocz., od * powtórzyć. Kolej 9 jak 7 kolej. Kolej 10 jak 1 kolej. Kolej 11: * 1 ści. ocz., 5 pow. ocz., 1 o.

Nr 3. Dywan krzyżowym ścięgiem. (Do ryc. 22 w Blu. Nr 30).

ści. w pierwszy słup. z 6 podw. słup., 5 pow. o. 1 ści. ocz. w 3 z rzędu słup., 5 pow. ocz., od * powtórzyć. Kolej 12: * 2 razy naprzemian: 3 ści. ocz. po każdym 3 pow. ocz., 3 pow. ocz., 1 ści. ocz., 3 pow. ocz., od * powtórzyć. Po drugiej stronie roboty należy wykonać jeszcze jedną kolej, jak 7 kolej.

Suknia z materyi i koronki.

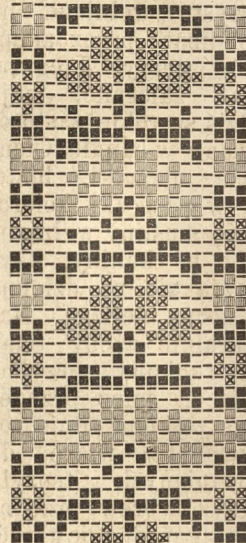
Rycina Nr 1.

Spódnice materyalną uzupełnia z przodu i lewego boku wolant z materyi niebieskiej, 60 centim. wysoki, tudzież upięcie z kremowej koronki. Stanik oraz bok z materyi niebieskiej w kremowe paski, uzupełniają suknię podług ryciny.

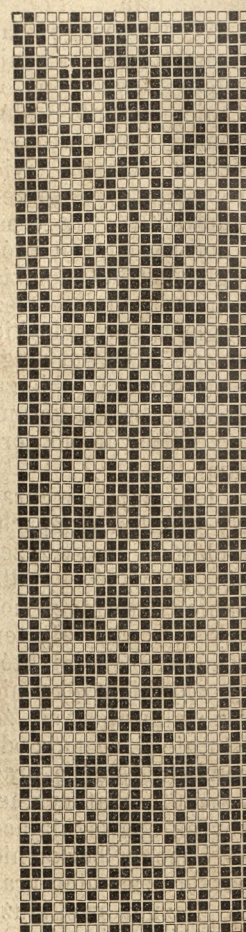
Suknia z beżu i kraciastej materyi.

Rycina Nr 2

Suknia złożona ze spódniczki z upięciem na przodzie i z długiego „vetement” z peleryną. Spódnice naszyta na przodzie i na bokach materyą w kratkę popielatą z białem, uzupełnia długi fartuszek z popielatego beżu. Vetement z tegoż materyalu zapięte jest z przodu na guziczki. Pelerynka dana na kraciastej jedwabnej podszewce, przyozdobiona jest w koło szyi i na przodzie zabocikiem, zrobionym z wełnianej koronki popielatej podług ryciny.



■ pierw (naje.), * drugi, ■ trzeci (naji.) zielony, ' tło.



Objaśnienie znaków: ■ ciemno-zielona sznelka, □ jasno-zielona pela, * ceglata filozela, - złota nitka.

Nr 4. Szlak do poduszki krzyżową robotą.

Nr 5 i 6. Szlaczki do serwet i t p. krzyżową robotą.

Dywan krzyżową robotą.

Rycina Nr 3.

Dywan 97 centymetrów długi, a 60 centymetrów szeroki, złożony z pasów kanwowych 13 centymetrów szerokich, na których należy wykonać haft podług ryciny 22 w Bluszczu Nr 30 podany, tudzież z brązowej tkaniny przerabianej złotą nitką. Brzegi dywanika podszyte grubym żaglowem płótnem, zdobi szlaczek pasmanteryjny z różnokolorowymi bombelkami.

Suknia z satin-duchesse.

Rycina Nr 7.

Spódnice uzupełnia draperya przyozdobiona naszyciem z pasmanterii, tudzież plisowana falbana, na którą spada sute tylne upięcie. Guziki w formie baryłek i sznury jedwabne, zdobią suknię podług ryciny.

Suknia z fularu.

Rycina Nr 8.

Spódnice uzupełnia falbana plisowana, 500 cent. obwodu mająca z kremowego fularu w niebieskie paski. Tiunikę udrapowaną podług ryciny zdobi wylóg z aksamitu szafirowego.



Nr 7. Suknia z „satin-duchesse“.

Nr 8. Suknia z fularu.

Gładki staniczek uzupełnia kołnierzyk i mankiety z aksamitu.

Suknia wełniana.

Rycina Nr 9.

Fałszywą spódnice 220 centim. szeroką, uzupełnia wolant gładki z materiału w prążki popielate, 350 cent. obwodu mający, zapięty z prawego boku na dziurki i guziki i objęty taśmą popielatą wzdłuż zapiętego brzegu. Tiunikę należy ukroić podług fig. V. Liczby w konturach figury oznaczają długość i szerokość tiuniki, liczby po za obrysem konturów od a i b, oznaczają punkta znaków do upięcia tiuniki służących. Stanik gładki objęty jest również taśmą popielatą.

Mantylka z aksamitu i koronki.

Rycina Nr 10

Okrywka ta, przylegająca zupełnie do figury, zrobiona jest z czarnego aksamitu, przyozdobiona podług ryciny czarną koronką, tudzież przepięciami i naramiennikami z pasmanterii i dżetów.

Płaszcz z angielskiego materiału.

Rycina Nr 16

Płaszcz z szorstkiego materiału w brązowe i białe paski, podszyty

kolorowem „surah“ w paski i przyozdobiony brązowym aksamitem i pasmanteriami z jedwabnego sznura. W pasie od bocznych szwów przymocowane są tasemki, do przywiązania płaszczyka do talii.

Suknia z zefiru.

Rycina Nr 17.

Suknia z niebieskiego zefiru, przyozdobiona haftem, wykonanym niebieską i szafirową bawełną; spódnice uzupełnia falbana plisowana 450 cent. szeroka i bok przybrany haftem podług ryciny. Stanik zdobi kamizelka skrzyżowana na piersiach w kształcie chusteczki.

Przepisy gospodarskie.

Kalarepa nadziewana.

Obrać i opłókać młodą kalarepę, zerznąwszy wierzch, wydrążyć główki tak, aby wydrążenie było okrągłe i obszerne, dla wypełnienia go farszem. Usiekać drobno wybraną miazgę, podsmażyć z masłem do miękkości, dodać drobno usiekanej pozostałej pieczeni cielejącej lub nerek,



Nr 9. Suknia z wełnianego materiału.



Nr 10. Mantylka z aksamitu i koronki.

trochę wołowego szpiku, tartej i w masło podsmarzonej bułki, parę jaj, trochę soli, parę łyżek śmietany i zmieszać to razem wszystko dobrze. Napęlić główki tem siekaniem, nakryć każdą ściętym wierzchem, obwiązać bawełną, ułożyć jedną obok drugiej w rondlu, zalać rosołem lub bulionem. Gdy zmięknie, zapalić sos masłem z łyżką maki, dolać odrobinę karmelu, zagotować razem, a wydając odjąć bawełnę, poukładać na półmisku i zalać sosem.

Konserwowanie jaj.

W lecie obfitość jaj jest zbyt duża, że tak powiem podczas zimy, świat, karnał, konsumpcja jaj się powiększa ogromnie, a wtedy właśnie najtrudniej o nie, pomijając nawet podniesioną cenę, dostać ich często nie można, dla tego wszelkie podane sposoby do konserwowania trzeba próbować, a który dla kogo łatwiej-



Nr 12. Sukienka dla dzieci od 2 do 3 lat.
Krój i opis pierw. str. tabl. Nr V, fig. 24 do 30.



Nr 11. Ubranie dla chłopczyka od 13 do 15 lat.
Krój i opis pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1—14

szy, zastosować. Oprócz wielu już podanych przepisów, dziś dodaje kilka.

1. W gumie lub szkłe wodnem — tak jedno jak drugie rozpuścić w wodzie — każde jajko umoczyć — dać obeschnąć i zostawić, układając w sieczkę w paki, aby się nie tłukły jedne o drugie.

2. W glicerynie — biorąc kwartę gliceryny na dwie kwarty wody, w tym płynie układać jaja cienkim końcem zawsze ku dołowi — płynu ciągle dolewać — denko drewniane na wierzchu położyć i tak w zimnem miejscu trzymać.

3. Najwzyczajniejszy sposób, ale także dobry, układać w garnki gliniane wązkim ku dołowi, posypując drzewnym przesianym przez sito popiołem uważać, aby jajko nie dotykało jajka, gdyż to już będzie powód do zepsucia. Póki czas należy zbierać i przechowywać, a czas jest do połowy Września.



Nr 13. Sukienka dla dziewczynki od 3 do 5 lat.
Krój i opis odwr. str. tabl. Nr XIII, fig. 54—56.

L. C.



Nr 14 i 15. Sukienka dla dziewczynki od 5 do 7 lat.
Krój i opis odwr. str. tabl. Nr X, fig. 43—49.

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa „julienne“ rumiana.
2. Paszteciki w kruchem cieście.
3. Sztukamięsa rumiana.
4. Budyń ze szpinakiem.
5. Cąber barani.

U W A G A.

Tablica krojów dołączona do dzisiejszego numeru, służy też do 30 numeru Bluszczu.



Nr 16. Płaszcz z angielskiego materyału.



Nr 17. Suknia z zofiru.